

CZARNA PEREŁKA.

Powieść

przez B. Bolesławitę.

(CIĄG DALSZY.)

Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus, odezwał się głos we drzwiach mieszkania doktora, który podniósł głowę ciekawie, bo oprócz księdza Bonifratra ze skarbonką rzadko kto tym dawnym obyczajem witał się przychodząc. Nieznajoma postać w ubiorze duchownego widocznie z prowincyi (co krój staroświecki sutanny dowodził) ukazała się w progu.

— Przepraszam konsyliarza, czy mogę go na chwilę trudzić?

— Jestem na usługi, mam jeszcze z pół godziny wolnej — odpowiedział doktor.

— Naprzód się przypomnieć muszę, bo widzę, żeś mnie konsyliarz nie poznał. Jestem proboszczem w Muranowie, dobrach niegdyś ś. p. wojewodziny.

— A! przepraszam. Siadajcie księże proboszczu, możecie nam bardzo być na rękę teraz... mamy tu...

— Ale wiem, i umyślnie dla tego smutnego wypadku wybrałem się do Warszawy — odezwał się proboszcz z westchnieniem. — Mówicie o naszej poczciwej Czarnej perełce! W więzieniu! o mój Boże! gdyby jej przybrana matka z grobu powstała!! w więzieniu! ale wyroki Boże nie zbadane... Prosto przystępuję do rzeczy. Wiem, jakie zaufanie miała pani wojewodzina w was, szanowny panie, i ja też z ufnością do niego przychodzę... Posłuchajcie mnie:

Święta dobrodziejka nasza, choć usiłowała tej familii, którą obdarzała, natchnąć miłość dla swej drogiej pupili, do ostatka nie dowierzała jednakże, przeczuwała złe i starała się ochronić nieszczęśliwą od niedostatku... Zapisała jej dwakroć, zdawało się, że ją zaręczyła na łożu śmierci z panem Alfredem, a jednak znać zawsze miała obawę i wątpliwość... bo... potajemnie się zastrzegła od złej woli tych państwa... a moich na nieszczęście teraźniejszych kolatorów.

— W jaki sposób? — spytał doktor ciekawie.

— Na lat dwa czy półtrzecia przed śmiercią przysłała raz po mnie, czując się niedobrze, i wynurzywszy obawy swoje złożyła w moich rękach opieczętowane i zarejestrowane familijne owe klejnoty z najformalniejszym dokumentem notaryalnym, przeznaczającym je sierocie, jeźliby ona wyzutą została z zapisów jej poczynionych. W razie zaś, gdyby hrabina i pan Alfred dotrzymali wszystkiego i obeszli się z nią, jak byli powinni, klejnoty miały być oddane pani Alfredowej dla jej dzieci. Akt i klejnoty opieczętowane przyniosłem...

Doktor zerwał się z krzesła, by księdza uściskać, rozpromieniony, szczęśliwy.

— A! otóż i palec Boży! — zawołał — ale czekajcie, sierota cierpiała na sławie, na sercu, na zdrowiu, w tej chwili musiano ją przenieść do szpitalu... należy się, by sprawa była słuszną i sprawiedliwość tak jawna, jak była krzywda. Co tu zrobić!

— No, to nie moja rzecz, ja pytam was, co tu robić — odparł ksiądz dobywając z szerokiej kieszeni sutanny

ogromny pak opieczętowany — oto jest ów *corpus delicti*, a oto dokument... Zdaje mi się, że z prezentacyą przed sądem ani chwili dłużej czekać nie potrzeba.

— Siadaj ze mną, jedziemy do sądu... rzekł doktor... Zadzwonił i kazał konie podać...

W kilka minut siedzieli w karetce doktora, a w kwadrans zameldowali się do sędziego.

Musieli jak zwykle poczekać nieco w kancelaryi, ale nareszcie wpuszczono ich do przybytku. Wprzódy jeszcze sędzia był zawiadomionym, w jakiej sprawie życzyli się z nim widzieć, i wziąwszy księdza za prostego świadka przyjął go zimno a niemal szydersko... Ale gdy proboszcz objawił o co chodziło, gdy notaryalny akt złożył w ręce sędziego, bezstronny ów stróż prawa zmienił ton i fizyognomią, stał się grzecznym... i oświadczył, że natychmiast uwięzioną uwolnić każe, a stronę przeciwną zawezwie do odczytania aktu, który najmniejszej już wątpliwości nie zostawiał.

Doktor coś na końcu poszeptał sędziemu, i skutkiem jego żądania poszło wezwanie urzędowe do hrabiny i pana Alfreda, aby dla przesłuchania ważnego aktu, sprawę rozstrzygającego, niezwłocznie osobiście się stawili do sądu.

To wezwanie dla dumnej Pyzy równało się prawie upokorzeniem publicznemu aresztowaniu Lenory. Hrabina nie mogła przypuścić nawet, aby osobę tak dostojną, jak ona, śmiał sąd wezwać do osobistego stawienia się. Sędziowie i notaryusze zwykle sami z księgami do niej jeździli — a w kryminalnym procesie być wezwaną! było dla pani tej obelgą. To też odebrawszy pismo w największym gniewie kazała jechać Alfredowi i złajać sąd, jak śmiał ją! ją wzywać przed siebie... Była zburzoną do tego stopnia, iż o mało nie zachorowała. Alfred przelękły poleciał w czwał do sądu, wpadł jak burza, począł od grubijaństwa i rozgniewał urzędnika, który mu z najzimniejszą krwią odpowiedział:

— Pani hrabina jest oskarzycielką, nie pan, i ona stawić się musi dla przesłuchania konkluzyi.

— Jest wyrok i jaki? — zapytał Alfred.

— O tym się pani hrabina dowie, gdy przyjedzie...

Rzekłszy te słowa sędzia wyszedł do drugiego pokoju, a Alfreda porzucił osłupiałego. Wiedział on, że powróciwszy do matki z taką odprawą, będzie miał uroczyście zmytą głowę... i nic nie zrobi. Nie pojmował, jaki mógł zajść wyrok, czem spowodowany... Kanceliści patrząc na jego zakłopotanie śmieli się i szydzili po cichu... nie było co robić, trzeba się było wynosić. Ze strachem ukazał się w progu matki, która piła proszki sodowe.

— No, wyłajałżeś tego gbura sędziego! — zawołała — cóż to to za śmiałość tych biuralistów, żeby osoby wysoko urodzone śmieć ciągnąć do sądu. Ja się będę skarzyć, ja mu tego nie daruję...

Alfred milczał.

— No, cóż zrobiłeś?

— Nic nie mogłem zrobić — odparł syn — pokłóciłem się tylko. Zdaje się, że jakaś formalność wymaga osobistego stawienia się.

— To niech się oni, ci panowie, co są za to płatni, stawią do mnie!

— Zdaje się, że to nie może być...

— Ja pojadę do zamku!

— Ale to nic nie pomoże... niech mama się uspokoi... Cóż tam tak strasznego, na pół kwadransa stanąć przed sądem i na pięć minut zejść do kancelaryi.

— Co ty oszalałeś, czy co? Ja! ja! co jak żyję, w takiem miejscu nie byłam...

— Ale moja mamo, wyzwaliśmy sami proces kryminalny, mama jest stroną w nim... to są konsekwencye...

— Przecież nie może być wyroku, bo się nic nie znalazło i nic nie skończyło.

— Ja nie wiem, co zaszło, bo mnie sędzia pokłóciwszy się nic powiedzieć nie chciał, ale coś stanowczego zajść musiało.

— Może ona w szpitalu umarła! — zawołała hrabina.

— I to być może — rzekł Alfred.

— A! to jużbym i do sądu pojechała, żeby raz być wolną od tej peronelli...

Syn zamilkł... Hrabina piła proszki i rzucała się walcząc z tą myślą jak ona, ona pojedzie stawić się przed sądem. Ale naostatek rozbudzona ciekawość, domysł, że winowajczyni pod posądzeniem kradzieży umarła może, skłoniły ją do upokarzającej podróży. Wyprawiła tylko syna przodem, aby tak wszystko urządził, iżby uchowaj Boże czekać nie potrzebowała...

Alfred posłuszny poleciał co prędzej. Za nim potoczyła się majestatycznie kareta hrabiny, przy której dwóch lokajów z tyłu, a kamerdyner na koźle. Powóz stanął przed sądem, i natychmiast zgromadził się tłum gawiedzi dla podziwiania wspaniałości jego.

Dobry kwadrans czerwieniejąc ze złości jejmość, w głąb się zasunąwszy, przeklinała niezręczność najukochańszego syna, który nareszcie zbiegł blady i pomieszany. Prowadząc matkę na schody, pełne różnych ludzi i wcale nie grzeszące wytwornością, miał tylko czas szepnąć na ucho hrabinie:

— Na miłość Boga, kochana mamo, bądź co bądź, przed sądem ani słowa! bo oni wszystko wpiszą do protokołu!...

— Ale co to jest?

— Niech się mama przygotuje... jest coś niedobrego, nie wiem co, ale... złe.

— Cóż może być?

— Nie mówią nic... widzę, że proboszcz z Muranowa siedzi także wezwany...

W tej chwili otworzyły się drzwi i hrabina weszła niemi majestatycznie.

Za stołem siedział sędzia, który nie powstając głową lekko skłonił, i natychmiast wziąwszy papier ze stołu czytać począł:

„Działo się w Warszawie... dnia....

W miarę jak akt czytano, hrabina, której przez uszanowanie dla jej tuszy podano fotel zaledwie mogący ją pomieścić... stawała się na przemiany bladą, czerwoną i siną... Posłuszna jednak radzie syna, choć darła rękawiczki, nie odezwała się nic... trzęsła się cała... Wysłuchawszy dokumentu wezwana do podpisu, zrobiwszy dwa żydy krzywo nakreśliła swe imię... i ze ściśnionych warg wyrwało się — zobaczymy...

Sędzia się ukłonił. Alfred wziął matkę pod rękę i wyprowadził ją... W milczeniu przeszli schody, siedli do powozu i pojechali. W karecie hrabina zaczęła płakać z gniewu i upokorzenia. Alfred był czerwony, pałający... wściekły. Przybyli do domu... a jeszcze nie odezwała się ani matka do niego, ani on do niej...

— Moja mamo rzekł — nakoniec Alfred — co się stało, odstać się nie może, narzekać i płakać na nic, trzeba myśleć, jak się dźwignąć z tego...

— A! tak, ja sama widzę, żem złą miała kalkulacyą — odezwała się hrabina — nie tak nam postąpić należało... ale po czasie teraz... po czasie. Cyganka zwyciężyła...

— I — dodał praktyczny Alfred — zdaje się, że w miejsce dziesięć kroć stotysięcy, weźmie za klejnoty ze dwa razy tyle.

— Ale to własność familii!

— W takim razie familia ich wartość opłacić będzie obowiązaną.

— Niech ją i z klejnotami kaci porwą! — uderzając w stół pięścią ozwała się matka...

— Pozwoli mama sobie powiedzieć... ludzie się żenią i z chłopkami i z garderobianemi... cyganka, czy nie, mogłem się ożenić, byłbym nie potrzebował płacić dwóchkroć, i klejnoty byłyby nasze, a potem mógłbym się też i rozwieść... i procesować i nic nie dać.

— Ty zawsze do niej miałeś słabość, ale ja... ja myśli tej znieść nie mogę, aby krew nasza... senatorska!... a! nie mogę... duchy ojców! Cyganka...

Rozpłakało się nieszczęśliwe senatorskie dziecię.

Gdy się to działo w żałobą okrytym domu hrabiny, proboszcz z doktorem poszli do osobnej izdebki w szpitalu zwiastować Lenorze jej oswobodzenie i uniewinnienie...

W pierwszych dniach niebezpieczną, ale energiczną przerwaną kuracyą, przecierpiawszy gorączkę, Lenora czuła się była lepiej. Staraniem przyjaciół dano jej w szpitalu osobną czystą izdebkę, a dozór panien miłosierdzia uczynił pobyt w niej znośnym, w porównaniu zaś z pierwszem więzieniem, niemal wesołem... Pomiędzy obwinioną a dozorczynią jej, siostrą Felicyą, zawiązała się przyjaźń najczulsza. Powołanie miłosierdzia dziwnie wyszlachetnia duszę; siostra Felicya była osobą bardzo mało wykształconą, ale pobożną i poświęconą bliźnim; dziesięć lat tej ofiary u łoża chorych, z cierpiącymi, uczyniły ją aniołem cierpliwości, dobroci, poświęcenia skromnego i nadzwyczajnej przenikliwości umysłu. Lenora znajdowała u niej pociechę, z nią czuła się prawie uspokojoną, a widok tej ofiarnej niewiasty unosił ją aż do pożądania poświęcenia się podobnego...

Leżała jeszcze, ale zrezygnowana, ukojona na duchu, przejednana ze światem i przebaczając krzywdę nieprzyjaciołom... Na białej kołderce, która ją okrywała, przez cały dzień spoczywało naśladowanie Chrystusa Pana, które jej siostra przyniosła... Cała ubrana w bieli ze swą ciemną ale zbladłą twarzą, ognistemi oczyma, czarnemi rozpuszczonemi włosami, wydawała się uroczo piękną, bo mistrzyni boleść umie także do ideału rozpromieniać człowieka, jeźli dusza upokorzona przyjmie ją jak błogosławieństwo...

W tym stanie ducha błogim, który wynagradza największe cierpienia ideą sprawiedliwości nadziemskiej, czuwającej nad człowiekiem — znalazł ją doktor i proboszcz muranowski.

Gdy ich ujrzała we drzwiach, gdy ujrzała oblicze przyjaźne, uśmiechnięte kapłana, do którego jak do ojca duchownego nawykła była od dzieciństwa, wyciągnęła ku niemu ręce z uśmiechem i okrzykiem:

— A! co za szczęście!

— Dziecko moje! — zawołał rozrzewniony kapłan... dziecko moje! przynoszę ci i zwiastuję od progu uwolnienie, uniewinnienie, tryumf... Wszystko skończone.

— Być że to może! w jaki sposób?

— Uspokój się pani — rzekł doktor — ksiądz proboszcz opowie jej wszystko. W każdej chwili możesz powrócić do domu; nie ma już ani cienia wątpliwości. Zli ludzie zawstydzeni zostali.

— O mój Boże! o mój Boże! — wołała Lenora składając ręce — jam się już tego spodziewać nie śmiała. To chyba święty ten anioł, matusia moja droga, zstąpiła z niebios i dała świadectwo niewinności dziecięciu.

— Zaprawdę, odgadłaś! — rzekł proboszcz — jeśli nie ona, cień jej, głos jej, wola rozstrzygły. Staruszka pamiętała na wszystko, znała ludzi a kochała cię jak córkę... Dała tego dowód, składając na ręce moje osobno spisany akt urzędowy, tyczący się owych klejnotów, które są tobie przeznaczone... Dziś wszystko się to wyjaśniło przed sądem... jesteś wolną i Bóg dał niezależną... Wartość tego daru przechodzi to, co ci było zapisano...

— Ja tego przyjąć nie mogę... odezwała się Lenora.

— Zaczekaj, oto jest akt i słowa nieboszczki: „Znając szlachetne usposobienie i bezinteresowność wychowanicy mojej i to przewidzieć mogę, że daru mojego przyjąć nie zechce — ale ją zaklinam z za grobu w imię miłości, jaką dla mnie miała, ażeby go nie odrzucała, jeźli nie chce, bym bolała nad tem, że najgorętsza wola moja się nie

spełni... Rodzinie mej zostawiam więcej, niż wartość tych klejnotów, które były moją osobisą własnością".

Lenora słuchając płakała, doktor i ksiądz milczeli.

— Są potrzebniejsi odemnie — odezwała się po cichu — darem jej rozporządzę... w myśl jej... to poźniej... ale jam niewinna i wolna!!... jam czysta...

— I najmocniej proszę — przerwał doktor — ani się bez mojego pozwolenia ruszać z łóżka, ja wieczorem przyjadę po was... nie wprzódy...

Zostawując proboszcza, któremu w pomoc przyszła siostra Felicya, doktor odjechał. Zacna zakonnica na wieść o uniewinnieniu Lenory, do której się sercem całem przywiązała, wbiegła zapłakana z radości i rzuciła się jej na szyję.

— Błogosławione imię Pańskie! — zawołała... błogosławione imię tego, który niewinnych dźwiga i podnosi.

— Cudem — dodał proboszcz... Sławmy imię Jego...

I kapłan ukląkł, aby odmówić modlitwę dziękczynną, a Lenora ze złożonemi rękoma, siedząc w łóżku zapłakana, powtórzyła słowa modlitwy. Scena była rozczulająca...

Doktor nie bez przyczyny chciał, by Lenora wypoczęła jeszcze, nim ją do domu przeniosą, bo choć radość leczy, są wypadki, że jej znękane serca znieść nie mogą. Chciał przytem, ażeby tryumf sieroty uczynić tak głośnym i uroczystym, jak jawne i okrutne było prześladowanie. Pojechał do pani Laury, rozesłał do znajomych, dano znać Lordowi, który nie przestał się interesować Lenorą, Zbigniewowi i matce jego; postanowiono, aby jak najwięcej osób pojechało po chorą i odwiozło ją do dawnego mieszkania, okazując jej zasłużone współczucie.

Pan Alfred powracał wieczorem od prawnika, do którego wysłała go matka na naradę, czyby przeciwko aktowi ś. p. wojewodziny prawnie coś działać nie można — gdy w pobliżu pałacu Zamojskich spotkał ten szereg powozów... odprowadzający Lenorę. Poznał ją siedzącą w karecie z doktorem, panią Laurę, Lorda, kilku jego przyjaciół, i odgadł łatwo znaczenie tego rodzaju manifestacyi. Zbladł, zagryzł usta, ale się w nim, zazwyczaj obłudnym, tak wszystko wzburzyło, iż wróciwszy do domu pohamować się nie mógł. Wpadł do pokoju matki rzucając o stół kapeluszem z wyrazem takiego dzikiego gniewu na twarzy, iż się hrabina przelękła.

— Co ci jest? Alfredzie? co ci jest!

— To są łajdaki! to niepoczciwi ludzie... to szuje! to demagogi... gałgany...

— Ale kto?...

— Ta niepoczciwa Laura, ten doktor intrygant, głupi Lord...

— Cóż znowu się stało?

— Wystaw sobie mama! cała ta czereda pojechała do więziennego szpitalu po cygankę, i z paradą największą odwieźli ją do jej mieszkania, ulicami głównemi, do bramy pałacu, w tryumfie! Brakło tylko chorągwi i muzyki... Jutro po całem mieście trąbić będą... i nas potępiać...

Matka zamilkła, a po chwili:

— Dobrze! dobrze! — zawołała — niech się kręcą, niech się wiercą, jak chcą! ja o to nie dbam... Naszemu domowi, imieniowi i znaczeniu nie potrafią nic zrobić. To jest zawiść nikczemna tych dorobkowiczów... Ja się z tego śmieję! ja się z tego śmieję...

I w istocie dostała hrabina w tej chwili śmiechu, ale serdecznego, i natychmiast posłano po doktora, tylko już nie po starego S.... który był do niecnych intrygantów zaliczany i od dnia tego stanowczo na indeksie...

Hrabina miała się w przekonaniu swojem za najniewinniejszą ofiarę demagogicznego spisku!!

I tym razem sienie, schody, korytarze pełne były widzów ciekawych w pałacu, a na czele ich zapłakana, rozogniona, umuszliniona stała Kasia wołając:

— A co? nie mówiłam? nie powiadałam, nie przysięgałam, że to się tak skończy... A chwałaż Panu najwyższemu, że poczciwego pognębić nie dał...

Gdy doktor wprowadzał na górę z siostrą Felicyą biedną chorą, i pan Roman Janusz Zarybski i pan Zygmunt Haraburda czatowali na schodach, i oboje państwo Melchiorowstwo... i mnóstwo osób nieznanych. Ta postać w bieli, wyanielona cierpieniem, promieniejąca szczęściem, przesunęła się jak zjawisko jakie nadziemskie... Wszystkim się teraz wydawało, że taką istotę, na obliczu niosącą swej niewinności dowody, występkiem nawet było posądzać. Stróż przeklinał prześladowców, choć ich imienia nie wiedział...

Lenora weszła do swych pokoików, przygotowanych na jej przyjęcie, ukwieconych, wyświeżonych od rana, i zapłakawszy omdlała. Naówczas wszyscy szanując to wzruszenie po cichu odeszli, zostawując przy niej tylko lekarza i siostrę Felicyą...

Wstrząśnienie wywołane wypadkami dnia tego było za silne dla rekonwalescentki; mimo wszelkich zabiegów doktora wieczorem objawiła się niepokojącą gorączka i zagroziła recydywą...

Noc spłynęła w błogiem ale gwałtownem delirium, wśród którego chora spiewała piosnki dziecinne, rozmawiała z wojewodziną, miała widzenia straszne, płakała, śmiała się, zrywała do fortepianu, i dopiero nad ranem uspakajające lekarstwa sen głęboki wywołały...

Przy łożu sieroty została Felicya, a na posługach Kasia, u drzwi Zbigniew obwinięty w palto wytarte na mrozie stróżował czekając, czy gdzie posłać go nie będzie potrzeba... Noc całą nie zmrużyli oka przyjaciele Lenory — ranek zastał ich strwożonych, doktor był ponury i milczący. Nazajutrz przybyła pani Laura, aby wyręczyć

siostrę, przywiozła z sobą Stefcię, i tak mieniając się cały dzień u łoża przebyli. Po gorączce nastąpił sen długi, który lekarz za dobry znak uważał, i przerywać go nie dozwolił; przytomność zdawała się powracać, rozdrażnienie ustawać, chora budziła się, patrzała, pytała, gdzie jest, poznawała przytomnych, uśmiechała się im, i zmorzona znowu potrzebą snu padała na poduszki z ustami złożonemi jak do błogiego uśmiechu.

Patrzący nie mogli się powstrzymać od łez... W tej ciszy i oczekiwaniu przeszła i noc następująca.

Słabość się przeciągała, doktor znajdował, że nie była groźną, jednakże nie oznaczał jej kresu i nakazał spoczynek. W ciągu tygodnia chora odzyskała zupełną przytomność, i zostało jej tylko osłabienie a znużenie wielkie i niemniejszy smutek. Całe dnie spędzała na cichej rozmowie z siostrą Felicyą lub czytaniu Naśladowania. Ale towarzyszka jej, która nie spuszczała z oka chorej, uważała, że czytanie służyło tylko za pozór może do głębokiego rozmyślania. Długo nie przewracała kartek, patrzała w nie osłupiałemi oczyma, po cichu płacząc, potem przewróciła kilka, chwytać się zdawała jakby losem jej rzucone wyrazy, i zadumywała się znowu. Rozmowa, jeźli ją poczęła siostra Felicya, zwracała się od świata do zadań życia wyższych, do zawodów, smutków, do ciężkiej doli człowieka. Wypadki ostatnie odjęły jakby energią do walki z losem potrzebną, zdawała się pragnąć pokoju tylko, okupionego choćby ofiarą woli i nadziei przyszłości...

W ciągu słabości oznaki powszechnego współczucia odbierała Lenora nieustanne. Co odróżnia Warszawę od innych miast polskich, to zapał, z jakim ona w każdej sprawie, w której idea szlachetna jest pokrzywdzoną, bierze udział serdeczny; wszyscy się rozgorączkowują dla uciśnionego człowieka, dla heroizmu czynu, stają w obronie sprawiedliwości i głośno poświadczają, że miłują prawdę i cnotę; nawet ci, dla których one są obojętne, posłuszni prądowi powszechnemu wtórują masom, spieszą z głośnem współczuciem i datkiem. Na tak usposobioną społeczność wiele, wiele rachować można. Znajomi i nieznajomi zajęli się żywo sprawą pokrzywdzonej Lenory, słano jej bukiety, wiersze, obrzucano podarkami, zapisywano u drzwi, ofiarowano chętną pomoc... Oburzenie na hrabinę było tak wielkie, że się w pierwszych dniach nigdzie pokazać nie mogła. Alfred znany ze swego posłuszeństwa pani matce, nie mniej był źle widzianym, unikano go, najlepsi przyjaciele nie życzyli sobie z nim pokazywać się publicznie, nikt w obronę ich wziąć nie chciał.

Dodać jednak trzeba, że mimo tak jawnej manifestacyi opinii publicznej, pewna część tak zwanego wielkiego świata zachowała postawę zimną, wyczekującą, nieodgadnioną. Nie wzięła ona ani strony pokrzywdzonej, ani śmiała bronić postępku hrabiny, ale rada była może widzieć w tem wszystkiem objaw kwestyi społecznej w innej formie, wypadek starej walki demokracyi z arystokracyą. Hrabina nie była zbyt dobrze widzianą w tym świecie, ale doń należała bogactwy, imieniem i samą ekscentrycznością, z jaką praw tego pierworodztwa broniła przeciw młodszej braci. Obóz czuł, że do pewnego stopnia bronić jej był obowiązany, zdesperowane położenie tylko nie dozwalało mu wystąpić na razie.

Laura, doktor, siostra Felicya, u drzwi Zbigniew, niekiedy wśród dnia dosyć nudna matka jego ze swemi na świat wyrzekaniami i deklamacyą *pro domo sua*, składali zwykłe towarzystwo Lenory, która ze swej apatyi i zamyślenia rzadko się weselszem czyjem usposobieniem wyprowadzić dała.

Lord także przysyłał bukiety i dowiadywał się o zdrowie; ale ten miły dowód współczucia, z którego żartowała Laura, prześladując niem sierotę, nie czynił na niej wielkiego wrażenia. Bukiet wiądł na stoliku, a ona czytała Naśladowanie.

Jednego przedwieczora, gdy była tak zadumaną nad ulubioną księgą, powoli rozwarły się drzwi, i postać dziwna, straszna niemal wsunęła się niemi. Był to mężczyzna stary olbrzymiego wzrostu, nieco przygarbiony, z włosem siwiejącym, rozczochranym, zarosłą brodą podciętą, ubrany jak górale tatrzańscy, z siermięgą przewieszoną na ramieniu, z pasem, u którego wisiały noże i igły, z kijem w ręku — podobniejszy do włóczęgi i żebraka niż do kogokolwiek bądź innego. Twarz jego śniada, ogorzała, czarne oczy błyszczące, wargi szerokie i odęte, mimowolnie zwykły typ cygański przypominały. Wszedł, począł się ponuro po pokoju rozglądać, i gdy wejrzenie jego padło na łóżko, powoli posuwać się zaczął ku niemu. Siostra Felicya przestraszona podbiegła, aby go zbyć jakim datkiem i wyprawić, gdy od łoża chorej dał się słyszeć wykrzyk... Ujrzała wyciągniętą rękę Lenory i usłyszała głos:

— Proszę puścić! puśćcie go...

Cygan zwolna krok za krokiem w milczeniu przybliżał się do łoża, nareszcie w pewnem oddaleniu od niego stanął, zapatrzył się na Lenorę, podparł na kiju i wryty tak pozostał... Głowa jego zwolna spadała na piersi, kołysała się i zwisła... wzrok spadł zwolna na ziemię.

W twarzy Lenory malowały się razem przestrach, rozrzewnienie, oczekiwanie; patrzała nań, i powoli łzy z jej oczów pociekły.

Ta scena niema przedłużyła się z podziwieniem siostry Felicyi w groźny sposób... jakby gotując wybuch, którego się można było domyśleć.

Cygan podniósł powoli głowę na Lenorę spoglądając, i poruszał nią litując się.

— Oj tak — rzekł łamanym jakimś językiem — wiedział ja dobrze, jak się to skończyć musi! I skończyło się tak, jak ja czuł i przeczuwał! Wzięli moje dziecko z pod płota, aby rzucić pod płot...

— Dżęga — przerwała cicho Lenora — niesprawiedliwym jesteś.

— Albo myślisz, że ja nie wiem o wszystkiem — rzekł powoli — ja tu już dawno patrzę z daleka; a pocom się miał zbliżać, żeby palcami wytykali cygana i — cygankę. Ale w końcu serce się ścisnęło. Myślałem, taki pójdę, taki zrobię, taki jej powiem, niech się nie bałamuci, niech nie wierzy. Gdy kąsają, to prawda, ale gdy się łaszą — kłamstwo... Za uśmiechem złość siedzi... Ot by lepiej ci było z nami... ze mną. Ty dla nich nie stworzona...

Hej! hej!—mruczał dalej, postukiwając kijem... W górach, w Tatrach spokojniej... pusto... dziko, i kraj stworzony jak dla nas... Pędzą z Węgier, to się przerzucim na polską stronę, a gnają z polskiej, to na madziarską. W Tatrach nie ma nikogo, tylko orły, kilka kóz i nas kilkoro... Wiatr szumi i bory jodłowe płaczą...

Lenora słuchała, i jej łzy z powiek ciekły... Stary obejrzał się na siostrę Felicyą, jakby się lękał, żeby go nie wygnała, a widząc ją stojącą spokojnie z załamanemi rękami, bladą, wsłuchaną w jego mowę dziwnie szorstkiego, bolesnego dźwięku, powoli jakimś niemal zwierzęcym ruchem zgiął się i na ziemię przysiadł u łoża.

— Pozwólcie mi posiedzieć — rzekł obracając się do siostry — ona mnie zna, ona powie kto ja... toć dziecko moje. — Felicya milczała...

— Ty chora — mówił po chwili — o ja wiem, oni ciebie prześladują. Ale bo dzikiej sokolicy w kurzem gnieździe nie siedzieć... oj! nie! Wypieścili sokolicę moję, aby ją potem żywą skubać...

Chciałem ja ciebie wziąć, bom wiedział, że ich dobrodziejstwa nieszczęście niosą, że nie przyswoją oni ciebie, ani ty ich pokochać możesz... Co to za ludzie, to kukły... postrojone, i już zapomnieli, jak ich pradziadowie błądzili po lasach drąc się z niedźwiedziami... Co nam z niemi? my innej krwi i innego serca, a oni do nas jak kraska do wrony nie podobni... komu Bóg wroną i krukiem być kazał, darmo cudze pióra brać — darmo. Napisano na twarzy — czarne przekleństwo...

I ty je nosisz... dziecko... choć ci je białe ręce ścierały...

Zamilkł chwilę...

— Gdzieżeś bywał Dżęga — ozwała się słabym głosem Lenora patrząc na niego. Starzec ręką zawalaną przesunął po twarzy i uśmiechnął się szydersko, zważając, że unikała go nazywać ojcem, i odparł.

— Ty panuńku nie wierzysz sobie, że stary Dżęga i stara Maruna twymi rodzicami! nie prawdaż! czemu mi nie powiesz — ojcze! Mnieć w sercu miło by posłyszeć było, że dziecko się do mnie przyznało, choć ono w cienkich szatach a ja w grubych... Ale tak! gdy kukułka jaje złoży w gnieździe cudzym... ani ta, co je wysiedziała, ani ta, co je zniosła, do niego się nie przyznają; tobie kukułką być... bez gniazda...

— A! powiedzże mi! — przerwała gwałtownie Lenora wyciągając ręce ku niemu. — Ty przecie wierzysz w tego Boga, co nas przeklął, i modlisz się w jedyną noc księżycową do niego, choć wiesz, że cię nie wysłucha... Powiedz mi na imię wielkiego Ducha, zaklinam... jesteś ty ojcem moim?...

Cygan białymi zębami się rozśmiał.

— A coby mi było za cudzem chodzić dzieckiem? czy myślisz, żem ja grosza żądny...? Nie...

Dobył z zanadrza wór skórzany, i na podołek koszuli wysypał parę garści dukatów świecących...

— Jam nie ubogi... Zabiliśmy na węgierskiej granicy kupca... pożywiło się nas trzech na długo, a żyjemy niczem... wiatrem... dymem... i podpłomykiem...

Na te słowa: zabiliśmy! Lenora twarz zakryła.

— Co tobie dziecko! — śmiejąc się rzekł cygan, który złoto przesypał do worka. — Coż to złego zabić jednego z nich, kiedy oni nas secinami bili! Oni mają wszystko! zapanowali nad światem, nad ziemią, każde drzewo ich, każdy kamień naznaczony, każda kropla wody policzona, a my na ziemi żyć musim i nie mamy nic. My w wojnie — a gdy na wojnie spotka się żołnierz z żołnierzem, kto silniejszy zabije i obedrze...

Zabiją oni mnie!

Widząc, że Lenora płakała rzewnie, stary cygan począł ją po swojemu uspokajać.

— Daj ty pokój tym łzom, ja jego sam nie mordował, inom patrzał... to mi się część dostała. Ja nie lubię krwi. Zjadłszy jej, jak czosnek człowiek nosi w sobie... ani się zbyć.

— Więc ty... jesteś ojcem moim! — zawołała we łzach... Siostra Felicya podbiegła ku niej podtrzymując i pocieszając.

— A na cóż by mi było kłamać! — rzekł stary... Nie wierzysz! ale się w tobie cygańskie odezwie serce... prędzej, poźniej zatęsknisz za stepem, pustynią i włóczęgą... Co wielki Duch kazał, to się spełni... Niech oni kropią wodą swoją, nie zmyją skóry czarnej ani czarnego przekleństwa. — Westchnął.

— Pójdziesz i ty w świat! — dodał...

A bo by ci nie lepiej było... tu nad tobą królują, tam my sami sobie pany... Ja nie mogę żyć bez gór, ja zejdę zimą w dolinę, powędruję po zakopconych mieścikach i nie mogę oddychać ich powietrzem... ale od puchu odwyknąć trzeba, od białego chleba i od wszystkich kajdan ludzkich... my nie ludzie... my cygany... (D. c. n.)

U WYŁOMU.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

NAPISAŁ LEOPOLD HR. STARZEŃSKI.

(DOKOŃCZENIE).

AKT CZWARTY.

(Noc. — W głębi widać las dębowy — pośrodku stoi kurhan śniegiem pokryty. — Nieco na przedzie sceny rozpalone ognisko.)

SCENA I.

FABIAN. EDWARD.
(u podnóża kurhanu siedzą przy ogniu)

EDWARD.
Jakżeż ci zdołam mą wdzięczność wynurzyć?
Tobie — mój zbawco! — winienem ci życie.

FABIAN.
O! wszak ojczyźnie to tak miło służyć.
Jażbym opuścił ciebie, moje dziécię?

EDWARD.
Na czyn podobny któż to się odważy?
Gdy mnie Moskale w swojej mocy mieli,
Tyś wyprowadził mnie mimo ich straży.

FABIAN (na stronie)
Tak — rozkazałem by nas nie widzieli.

EDWARD.
Lecz — w tem zdarzeniu ja bym podejrzywał,
Że to musiała zajść pomyłka jaka:
Widząc mój paszport — komendant się zgniewał...
(patrzy z boku na Fabiana)

FABIAN (na stronie)
Za tę pomyłkę zaskarzę duraka.
(głośno)
Nie mówmy o tem! — Lecz — słuchaj mej rady:
Dłużej tu gościć tobie niebezpiecznie,
Padniesz ofiarą denuncyacyi, zdrady,
Ty ztąd oddalić musisz się koniecznie.

EDWARD.
Ja jestem gotów iść w najdalsze strony —
Lecz — ta nieszczęsna z Aleksym rozprawa...
Kazał tu czekać.

FABIAN.
To jest krok szalony!
Pomnij, że ciebie wzywa święta sprawa.

EDWARD.
Lecz muszę...

FABIAN.
Z człekiem, co bez czucia, wiary,
Który się wzbrania swej ojczyźnie służyć —
Ty byś do takiej się zniżył ofiary,
Pojedynkowej jeszcze broni użyć? —
Ty — miałbyś stawić życie na tym kroku?
Ty — klejnot sprawie naszej poświęcony?
To życie — pełne powabów, uroku,
Które otrzymasz z rąk twej narzeczonej.
A tamten... człowiek złej woli i wsteczny,
Co to zbutwiałych przesądów się trzyma.
On jest dla celów naszych niebezpieczny —
Z nim stawać w szranki — tutaj miejsca nie ma.

EDWARD.
Ja nie pojmuję, jak możesz wymagać,
Bym honorowej nie przyjął rozprawy.

FABIAN.
Bo takich ludzi w inny sposób smagać —
Co mi tam honor!

EDWARD (zdziwiony)
Jak to?

FABIAN (miarkując się)
Z wrogiem sprawy.

EDWARD.
Niesprawiedliwie Aleksego sądzisz;
Bo serce polskie w nim bić nie przestaje,
Choć jeszcze wątpi. W sądzie twoim błądzisz.

FABIAN.
Dziś kto nie z nami — ten przeciw nam staje.
A więc każdego, który się zadłuży,
Krajowej sprawie — pomimo przestrogi —
Każdego, który za zaporę służy,
Jak chwast szkodliwy trza uprzątnąć z drogi.

EDWARD (z niepokojem)
Cóż ty chcesz mówić?

FABIAN.
Czyż by cię smuciło,
Gdyby wichrzyciel — co lud zbałamucił,
Co wrogiem kraju... gdyby się zdarzyło...
By z tego miejsca już żywy nie wrócił?...

EDWARD.
Jak to?

FABIAN (bierze go za rękę, półgłosem)
Edwardzie!... Patrz! jaka noc ciemna!
Tu... nas dwóch tylko... tam... Dnieprowa fala...
Cicho dokoła... Wiesz — to rzecz przyjemna,
Spocząć spokojnie — na grobie rywala.

EDWARD.
(zrywa się, w najwyższem oburzeniu)
Jakaż myśl dzika z twojej głowy wzrasta!
Dokąd chcesz zmierzać?... do jakiego kresu?...
Powtórz!... coś wyrzekł?...

FABIAN (na stronie)
Głupi entuzyasta!
Swego własnego nie zna interesu.

(głośno, z obojętnością)
Mówiłem tylko to — że mam nadzieję,
Iż klęsk nie będziem mieć z tego uczynku:
Legnie ten, który w kraju zgubę sieje,
A ty zwycięzcą wyjdziesz z pojedynku.

EDWARD.
A ja w odmienne rozstrzygnienie wierzę;
Na myśl się wzdrygam, podnieść broń na tego,
Com z lat dziecinnych tak ukochał szczerze,
Sam będąc dzisiaj sprawcą nieszczęść jego.

FABIAN (na stronie)
Gotów mnie wszelkich widoków pozbawić,
I dóbr marszałka. Bodajć djabli wzięli!
Głupiec! — gdy zacznie się w heroizm bawić,
Tamten go jeszcze jak gąskę zastrzeli.
Nie... nie dopuszczę.
(głośno)
Czyż owe papiery,
Com ci powierzył — tak ważne — ciekawe —
Już przeglądnąłeś?

EDWARD.
Nie.

FABIAN.
Do twej karyery
Tak są pomocne...

EDWARD.
Ja miałem obawę
O ciebie — gdyby pisma znaleziono;
Więc je oddałem...

FABIAN.
Komu?... Czy być może?
Oddałeś?!...

EDWARD.
Kiedy chatę otoczono,
Więc je oddałem kobiecie w futorze.

FABIAN (na stronie)
Piekła!!!...

EDWARD.
Z rozkazem, by ci je zwróciła.

FABIAN.
Ona mnie nie zna!
(na stronie)
Wierz tu szalonemu!

EDWARD.
Jeśliby ciebie tu nie wyśledziła,
Swemu synowi odda Aleksemu.

FABIAN.
(jak piorunem rażony)
Aleksemu?!...

EDWARD.
Tak — a on ci je wręczy.

FABIAN (na stronie)
Niech ci w torturach spłynie całe życie!
(głośno)
Kiedyż się zjawi?... mów!...
(na stronie)
Mnie wściekłość dręczy!

EDWARD.
Już ci mówiłem: tu ma przyjść o świcie.
Prosiłem ciebie na świadka rozprawy,
Której uniknąć nie mogłem, niestety!

FABIAN.
(na stronie, namyśliwszy się)
Dobrze!... tak będzie!... daremne obawy!...
(głośno)
Masz broń przy sobie?...

EDWARD.
(dobywa parę pistoletów z kieszeni)
Mam te pistolety.

FABIAN.
Czy strzelasz celnie?

EDWARD. (ponuro)
Los niech za mnie strzela!

FABIAN.
Ja cię zaklinam: Rozważ to — na Boga!
Zbrodnią jest litość mieć dla burzyciela —
On zdrajcą kraju!... mierz jak w serce wroga!
(Słychać za sceną zgiełk i oddalone wystrzały)

EDWARD.
Co to jest?

FABIAN.
Jakieś wystrzały i wrzawa!

EDWARD
(wybiega na kurhan i patrzy za scenę)
Trudno rozpoznać jeszcze śród ciemności...
Lecz... to moskiewska pędzi tłuszcza krwawa! —
A za nią ściga... Nie... nie mam pewności...
Jednak się zdaje... te czarne kołpaki!...
Tak... tak... to oni!... lub mnie oko zwodzi...
Moskwa w rozsypce!...

FABIAN.
Co to jest?... któż taki?

EDWARD.
To hufiec naszej ukraińskiej młodzi?

FABIAN.
To niepodobna!...
(wybiega na kurhan za Edwardem)

EDWARD.
Tak — hufiec ich spory!
To ukraińcy!... Nie — nie jestem we śnie...
Dzicz przed drużyną pierzcha Wernehory!

FABIAN (na stronie)
Tryumfuj carze! — Stało się!... „przedwcześnie!“

EDWARD.
Lecz — któż dowódzcą? — Widzisz go?... na czele
Na wronym koniu... tu do nas się zbliża...

FABIAN (na stronie)
Ja go poznaję!... ha!... tego za wiele!...

EDWARD.
Aleksy!!!... to on!...

FABIAN (na stronie)
Poznałem rycerza.

EDWARD.
On! — Niech mu sława w późne czasy będzie!
On pierwszy leci na śmierć i na blizny,
A ty go śmiałeś niedawno w zapędzie
Nazwać wyrodnym — i zdrajcą ojczyzny!

FABIAN.
Lecz — w taką zmianę któż byłby uwierzył?

EDWARD.
O! tak — ja teraz mam tę wiarę w łonie,
Że on na Moskwy ten oddział uderzył,
Ażeby przybyć ku mojej obronie.

FABIAN (na stronie)
Nie myślał o tem, że go ktoś uprzedzi.
(głośno)
Jeźli błądziłem — żal prawdziwy czuję,
I wyznam szczerze, jakby u spowiedzi,
Że sam się z tego serdecznie raduję.

EDWARD.
O! z tego czynu poznaj Alexego!
Lecz — on tam walczy... Spieszmy w imię nieba.
(zbiega z kurhanu)

FABIAN (schodząc za nim)
Tak, ty masz słuszność!... Idźmy tam... do niego!...
Daj mi broń... Prawda!... mam tu — co mi trzeba.
(dobywa rewolweru i wybiega z Edwardem)

SCENA II.

WANDA. HORPYNA. LEKARZ.

WANDA.
Nie — nie wstrzymujcie!... bo to nadaremnie!

HORPYNA.
Ach! złota pani! — szanuj twoje zdrowie!
W taką noc zimną...

WANDA.
Nie żądaj odemnie,
Bym ztąd odeszła wprzód, nim on się dowie.

LEKARZ.
Wierzaj mi pani, z szczerem uwielbieniem
Ten czyn szlachetny podziwiam i cenię;
Lecz nie potrzebnie z takiem narażeniem
Wypełniasz ojca ostatnie zlecenie.

WANDA.
On mi polecił...

LEKARZ.
Byś pisma oddała
Temu — któremu słusznie przynależą;
Lecz w twojem sercu zbyt boleść wezbrała —
Zbyt jeszcze silnie czujesz ranę świeżą.
Czekaj do jutra!

WANDA.
Nie — to jego wola.

HORPYNA (całując jej ręce)
Niech twa duszyczka na te prośby zmięknie!
O! dobra pani! — ptaszynko sokola!
Twoje serduszko jakby szklanne pęknie.

WANDA.
Horpyno! czegoż... czegoż po mnie żądasz?
Wiesz kto Alexy?... znasz nieszczęście nasze!
Czyż i ty na to spokojnie poglądasz,
Że jemu grożą moskiewskie pałasze?
Słyszałaś teraz tę wrzawę?... wystrzały?...

LEKARZ (nadsłuchując)
Ucichło! — Tłuszczę już musiał rozgonić.

HORPYNA.
On moje dziecię! — on skarb — świat mój cały!
Bóg w tej przygodzie zechce go ochronić.
(patrzy przed siebie, mówi jakby jasnowidząca, w coraz większem zachwyceniu)
Jemu nic złego tam się stać nie może!
Mówią, że ludzie stepów przyszłość widzą...
Ja widzę... wierzę w to święcie... o! Boże!...
Tak — to zli ludzie tylko z tego szydzą.
Jemu nie zrobi nic... nic... ta hołota...
On moje dziecię!... nad nim palec boski...
A ja zakupię za to drogie wota
Przed ołtarz Matki Świętej Poczajowskiej.
O! jam mówiła: to dziecię kozacze!
Wiedziałam dobrze: tylko słówko powie,
Raz po orlemu niech tylko zakracze,
Zaraz mołojcy wnet staną gotowi.
Jak mu tam pięknie! — Jak dumnie wzniósł głowę!
Jemu hetmanem naszym być przystało —
To moje dziecię!... sokole stepowe!...
(Słychać za sceną w dali kilka wystrzałów, Horpyna chwyta się nagle za serce)
O!... jak okropnie tutaj zabolało!
(Stoi długi czas nieprzytomna, jakby w posąg zamieniona.—Wanda i lekarz stoją w niemem przerażeniu patrząc to na Horpynę, to w stronę, gdzie się walka toczy.—Zaczyna się rozwidniać stopniowo).

SCENA III.

CIŻ. ALEXY.

(ranny — wprowadzony przez Edwarda i kilku Ukraińców uzbrojonych — z boku idzie Fabian)

EDWARD.
Nie... ty żyć będziesz!... to lekkie zranienie!

ALEXY.
Tyś już tam nie był... broń wzniosłem na próżno!...
(chwieje się i pada u nóg Horpyny)
Matko!... ostatnie daj mi uściśnienie!...

HORPYNA.
(ockniona, wydaje okrzyk rozpaczy)
O!...

ALEXY.
Podaj rękę!... lub będzie... za poźno!...

HORPYNA.
Krew!!!...

EDWARD.

W mej obronie śmierć mu daną była!

WANDA (do lekarza)

Panie! — niech twoja go zbawi nauka.

LEKARZ (opatrzywszy ranę)

Kula głęboko pod sercem utkwiła; —
Żadna lekarska nie pomoże sztuka.

FABIAN (na stronie)

Carze! — daj rubli i chrestów bez miary
Za krew przelaną tak drogiej ofiary.

EDWARD (w rozpaczy)

Alexy! — bracie!... mój druhu jedyny!
To być nie może!... ciebie śmierć nie czeka!

ALEXY.

Ginę — lecz nie wiem, z jakiej to przyczyny
Śmierć mi zadana — ręką — tego człeka.
(wskazuje Fabiana)

LEKARZ.

Tego?...

FABIAN.

To potwarz!

ALEXY.

Nad grobem jej nie ma.

EDWARD (dobywa pistoletu)

On?!...

HORPYNA (biegnie do Fabiana)

Ten!... ten!... (wpatruje się w niego)
Cóż to?... Co za przewidzenie?...
(wodzi ręką po czole, jakby sobie przypominała)
Czy zmysły tracę?... czy mgła przed oczyma?...
Ale... to jakieś dawne przypomnienie...

LEKARZ.

Któż on jest? — powiedz!

HORPYNA (przypominając sobie)

Tam... w nocnym pomroku...
Z dzieckiem na rękach wszedł do mojej chatki...
A zwał się... Szymon... Ta blizna przy oku...

LEKARZ.

To Szymon Turczak!...

EDWARD (na stronie, z bolem)

To brat mojej matki!
(opuszcza pistolet i stoi przygnębiony)

FABIAN.

Z takiem nazwiskiem nikt mi nie jest znany.
A mnie oczerniać — któż to wam pozwala?
Jeźli ten... ginie od kuli zbłąkanej,
To prędzej kula zbłąkała... rywala.
(wskazuje Edwarda)

EDWARD.

(pada na kolana u nóg Alexego)
Ty w to nie wierzysz!... ty!... mój bracie drogi!
Wierzyć nie możesz!... Ach!... powiedz!... na Boga!

ALEXY.

Nie — ja nie wierzę... nie miej żadnej trwogi...
Czuję... że ginę z ręki Polski wroga.

LEKARZ.

(do Ukraińców, wskazuje Fabiana)
W imię ojczyzny! — schwytać tego zbójcę!

FABIAN (dobywa rewolweru)

Kto się przybliży tutaj... trupem padnie.

LEKARZ.

Żywcem go weźcie! — Hej! — dalej mołojce! —

FABIAN (na stronie)

O!... mój Duch-Szatan skrewił mi szkaradnie!
(zasłaniając się rewolwerem niknie na prawo, Ukraińcy za nim wybiegają)

LEKARZ (patrzy za nimi)

Biorą go! — Zbrodniarz swego kresu dożył!
Śmierć jego służyć będzie dla przykładu.
Odbiegł!... rewolwer do piersi przyłożył...
(słychać wystrzał za sceną)
Ha!... skorpion zginął od własnego jadu!

SCENA IV.

ALEXY. WANDA. HORPYNA. LEKARZ. EDWARD.

HORPYNA.

Synu!... mój synu!...

ALEXY.

Matko!... bywaj zdrowa.
Już się twój sokół w inne światy zrywa.

HORPYNA.

I któż mnie teraz niebogę przechowa?
Przy teorbanie — któż braciom zaspiewa?

WANDA.

Alexy! — Nie mam do litości prawa;
Lecz — w serce twoje może głos uderzy
Tego, co dzisiaj przed tron boski stawa...
Słuchaj!... mój ojciec już na marach leży...

EDWARD I ALEXY.

Ojciec?!...

WANDA.

(dobywa pismo i oddaje Alexemu)
To pismo — kazał wręczyć tobie;
Ono wykrywa całą sieć zdrożności:
Nasz grosz nabyty w nieprawym sposobie —
Bo tyś jest synem... pana tych tu włości.

HORPYNA.

Synem pułkownika!

EDWARD.

O! nie dopojęcia!

WANDA.

To było ojca ostateczną wolą.

ALEXY.

Ja... synem jego!... A więc przedsięwzięcia
Ostatnie — nieba wypełnić pozwolą! —

(po chwili — z rozrzewnieniem)
Edwardzie!... bracie!... Niech twój duch wysączy
Dziś cały zapał do tej pracy nowej!...
Wiedziałem o tem, że nas Bóg znów złączy
Tu... u wyłomu twierdzy narodowej.
(bierze rękę Wandy i przyciska ją do ust)
Wando!... o! smutno rozstać się ze światem,
Bo w myślach gonią lat ubiegłych chwile...
Tyś była życia najpiękniejszym kwiatem,
Bądź kwiatem łzawym — na mojej mogile!...
(wskazując Horpynę)
Ta... która matką mi w tem życiu była —
Niech znajdzie serce, które w synu traci...
Wiem... ta ofiara będzie dla was miła —
Za nią — brat — z góry w ten sposób wam płaci...
(rzuca pismo w ogień)

WANDA (z wyrazem wdzięczności)
Alexy!...

EDWARD.
Bracie!

WANDA.
Ona naszą matką!

SCENA OSTATNIA.

CIŻ. ANTOSZKA. WIEŚNIACY. WIEŚNIACZKI.

ANTOSZKA.
Alexy ranny!... Nie... nie... on nie zginie!

ALEXY.
Pocóż żałoba nad kozacką matką,
Gdy krew mołojca za ojczyznę płynie?
Już ciemna chmura zawisła u czoła
Z tego kurhanu duch ojców mnie woła!
(pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetlają grupę)

JEDEN Z WIEŚNIAKÓW.
Nie — nie — Alexy! — Bóg nad tobą świeci!

DRUGI Z WIEŚNIAKÓW.
Ty nie opuścisz ukraińskich dzieci!

ALEXY (w zachwyceniu)
Ludu mej ziemi!... dzięki tobie za to!
Twa łza nad grobem — najwyższą zapłatą!
Ja dzisiaj wieszczym jakimś duchem czuję:
Bóg wielką przyszłość dla ciebie gotuje.
O! wytrwaj tylko! — ty — sokołów plemię!
Duch Wernehory zstąpi na twą ziemię.
Tylko niech w sercach żyje wiara nasza,
Że matką Rusi — jest ojczyzna lasza.

JEDEN Z WIEŚNIAKÓW.
O! bądź spokojnym — Alexy — w tym względzie!
Bo matka Polska — naszą matką będzie.

ALEXY.
(wznosząc ręce do nieba)
Boże!... tą darzysz nad grobem pociechą!...
Tam... orzeł biały... nad kozaczą strzechą!...
Gdy jutrznia kiedyś na niebie zaświeci —
I przyjdzie chwila — ostatniego gromu —
Pomnijcie wtedy... nadwiślańskie dzieci:
Że na was Kozak... czeka... u wyłomu!...
(umiera)

LEKARZ.
Pierwsza ofiara! — My — śród nawalnicy
Do pracy spieszmy! — pełni świętej wiary,
A mimo knutów — kajdan — szubienicy —
Tam... na wyłomie zatkniemy sztandary.
A kędy spoczną męczenników kości,
Kiedyś się wzniesie — świątynia wolności.
(Zasłona spada.)

KONIEC.

OBRAZY LITEWSKIE.

Z PAMIĘTNIKÓW W. POLA.

Przez przeciąg dwóch tygodni prawie, po połączeniu się powstania litewskiego z wojskiem koronnem, odetchnęliśmy nieco wolniej, bo już można było noc przespać spokojniej i furażować z mniejszem niebezpieczeństwem, i zgotować w czasie południa lub wieczora krupnik. Kozacy nie zbliżali się do korpusu, który miał działa i piechotę; nie docierali do łańcucha i placówek, a nawet natarczywość Czerkiesów straciła swój impet, bo starłszy się parę razy z Ułanami starych pułków, zostali na patrolach prawie do nogi wykłuci. Już coraz więcej można było ujrzeć w szeregach i w sztabie jeźdźców na czerkieskich koniach i w czerkieskich siodłach siedzących. A cóż to za roskosz przesiąść się na czerkieskiego konia, cóż to za okulbaczenie i okiełznanie mądre! A konia kuć nie trzeba, bo nigdy nie znał podkowy, i po największej ślizgawicy i po lodzie idzie jakby świeżo okuty, a tak żyrny, że się lada czem popasie i odżywi. Ztąd też miały te podjazdowe walki z Czerkiesami wiele ponęty; i kiedy podjazd starego pułku z obozu wyruszał, zamawiali sobie oficerowie u Ułanów czerkieskie konie, janczarki i kindżały, a Ułani cieszyli się na spotkanie z Czerkiesami, bo nienawiść całego kraju była do tego oddziału wojsk moskiewskich największa. Od kilku miesięcy rabowali oni całą Litwę, wyprawiali najstraszniejsze okrucieństwa z kobietami i jeńcami, i obłowili się co się zowie. Ztąd też kiedy Ułan śród boju chwycił konia z pod Czerkiesa

ubitego, to oficer dojeżdżając wołał: „Koń mój“! A Ułan odpowiadał: „Dobrze, ale co w siodle i przy Czerkiesie, to moje“ — I nie trudno było o podział łupu, bo każdy Czerkies miał przy sobie złoto, mnóstwo srebrnych ozdób na ubraniu, szaszkę, kindżał i pistolet w złoto, w srebro i w słoniową kość oprawny, a nadto jeszcze dowodną janczarkę, która w zamianie zdobyczy szła za dobrego konia.

Jest przekonanie starych żołnierzy, że to co się nabędzie w boju, nie trzyma się człowieka; więc też łatwo było o zamianę i nabytki z czerkieskiego arsenału, ale nie tak łatwo o konia; bo kiedy się Czerkies z konia zwinął— a zwinął się nieraz nie będąc ani zabitym ani rannym, ale uchodząc przed niebezpieczeństwem w krzaki, pomiędzy opłotki i chaty, gdzie go już na koniu dojechać nie można było, — to koń puszczony sadził sam przez rowy i płoty, a zpieszony Czerkies raził celnymi strzałami z poza węgła lub opłotków; i nieraz tak się zdarzyło, że konie całego prawie podjazdu ruszyły sobie w różne strony luzem, a zpieszeni Czerkiesi znikli w mgnieniu oka bez śladu, i dopiero po strzałach, które z różnych stron padały, można było znowuż policzyć tych, po przed chwilą bez śladu niby znikli.

Nieraz już za kark chwytał Ułan Czerkiesa, kiedy ten zwinął się pod brzuch konia, a koń wyuczony na te sztuki skoczył w bok lub zwrócił się w miejscu; a kiedy Ułan zagapiony stanął, wywinął się Czerkies z pod brzucha znowu na siodło, osadził konia w miejscu, rozglądał się zupełnie spokojnie i odstrzeliwał się z janczarki albo z pistoletu. Nie łatwa to walka z konnym kaukazkim góralem, który od dzieciństwa zaprawiał się do konia i boju, którego koń tak się zna z człowiekiem i z niebezpieczeństwem wojny jak człowiek.

Dzikość, zdradna przewrotność w boju, zręczność nadzwyczajna korzystania w każdej chwili z okoliczności, odmienność zupełnego szyku wojennego, łatwość w rozpierzchnieniu się, które nie jest przypadkowe, i po którem nie ma na kogo uderzyć, łatwość zebrania się silnego w mgnieniu oka, bez sygnałów i komendy prawie: — to wszystko razem sprawiło, że walka z tą dziczą kaukazką nie była łatwą dla żołnierza przywykłego do porządnego szyku, do komendy i sygnałów.

Chodził tam pod dowódzcą Czerkiesów koń mameluk biały jak mleko; wzrostem nie dochodził prawie 14 miary, ale nosił się tak wyniosło i wyskocznie przodem, że już po ruchach tego konia można było i jego i jego jeźdźca poznać na tysiąc sążni odległości. Był to koń niewidzianej rasy, a dzikiego dowódzcę znała cała Litwa w owym czasie, bo był postrachem wszystkich oddziałów powstańczych; był to koń, z rasy rzeczywiście podobny do koni dawnych mameluków, i tak też nazywano go, gdy o nim mówiono w obozie.

Dawno byłby już dowódzca Czerkiesów nie żył, który się bardzo narażać lubiał i sam docierał na czele; ale koń jego ratował go, bo go niósł w samych zwrotach i skokach, a w konia nie chciano strzelać, bo właśnie każdemu chodziło o konia.

Raz zostaliśmy komendorowani na podjazd: pluton szedł z naszego pułku, a drugi pierwszego pułku Ułanów. Gdyśmy się do wsi zbliżali, usłyszeliśmy głosy na trwogę, i przed jednym dworkiem stało w dziedzińcu kilka czerkieskich koni, a cała wieś była opłocona i kołowrotami zamknięta. Po za chmielniki dokoła wioski wiodła mała dróżka; tą tedy dróżką puścił się jeden pluton dokoła wioski niespostrzeżony przez Czerkiesów, aby zająć kołowrot i zamknąć im drogę do odwrotu; jakoż objechał ten pluton po chwili wioskę pod zakryciem chmielników, zajął drogę na kołowrocie we wsi i zamknął kołowrót. Drugi zaś pluton, który się przy wjezdnym kołowrocie zatrzymał, wchodził stępo do wioski; bo zdało się, iż mając Czerkiesów jak w saku, nie przyjdzie nawet do walki; kilku Ułanów wpadło na obejście, by pochwycić za czerkieskie konie, które tam luzem stały; ale tu przyszło do bardzo krwawej rozprawy. Czerkiesi rozpoczęli żwawy ogień z poza węgłów, z poza płotów i od chmielnika, i pluton musiał się cofnąć do kołowrotu, bo w mgnieniu oka mieliśmy do dziesięciu rannych i cztery zabite konie. W naszym plutonie miało wielu dubeltówki i karabinki; tych komenderowano z konia na piechotę razem z karabinierami, którzy byli przy plutonie z pierwszego pułku; a kilkunastu Ułanów komenderowano na dróżkę po za chmielniki, bo jużciż tylko tędy mogli się cofać zpieszeni Czerkiesi. Przyszło na piechotę do zaciętej walki po wypaleniu nabitych broni; tak z jednej jak z drugiej strony poczęła się walka jak to mówią na gołe łby; zdobywano każdą chatę i chlew każdy; luźne konie Czerkiesów, pobudzone strzałami i wojenną wrzawą, rozpierzchły się po drodze i po wsi. Dziewięć koni pochwycili Ułani, reszta uszła sadząc przez płoty i rowy; jeden tylko koń czerkieski przebił się na płocie, ale siodło było tu więcej warto od konia, bo pod poduszką była zaszyta garść złota. Kilku Ułanów pierwszego pułku, którzy nie ufali pojedyńczym strzałom, odrzucili pałasze a wzięli z sobą lance; i ci wyszli najlepiej, bo kłuli na piechotę lancą, kiedy się Czerkies krótką szaszką bronił, i okładali niemiłosiernie drzewcami. Oddział Ułanów, który za chmielnikiem czekał na odwrót Czerkiesów, wziął kilku w niewolę; kilku wywlekli chłopi z palących się chat, którzy się teraz także już do drągów wzięli, i rzucili nam skrwawionych Czerkiesów przed konie.

Głupia sprawa we wsi i pomiędzy opłotkami, bo mała tylko część naszego podjazdu mogła być czynną; i nikt nie sądził, że przyjdzie do tak krwawej rozprawy, bo Czerkiesów było wszystkiego tylko dwadzieścia jeden

koni, jak nam teraz miejscowi zeznali ludzie; szczęściem żeśmy mieli w zdobyczy czerkieskich jeńców i konie, boby trudno było usprawiedliwić poniesione straty przed jenerałem Chłapowskim, który brał rzeczy bardzo ściśle. Komendant podjazdu wypytał jeńców, i z powziętego języka wypadało wracać do korpusu. Trzech do czterech było tak ciężko rannych, że potrzeba było pod nich wziąć wózki; jeńców wzięto na powróz przy koniach, zebrano bronie czerkieskie i konie zdobyte, Ułani siedli znowu na koń, i cała prawie droga od kołowrotu do kołowrotu była wojskiem zajęta; środkiem tylko był przedwoma chatami i zatrzymał się na środku drogi, pomiędzy oboma naszymi oddziałami. Tu obejrzał się jak lis szybko i chytrze na wszystkie strony. Jak mówiłem, miał się już nasz oddział do odwrotu; tych co wyciągnęli łańcuch po za chmielnikiem nie ściągnięto jeszcze z polnej drogi; na kołowrocie tedy stało nie więcej jak dziesięciu Ułanów przy komendancie podjazdu, ale kołowrót był zamknięty. Radośny okrzyk odezwał się od obydwu kołowrotów na widok tej zdobyczy. Mameluk rzucił się w kilku zwrotach pod jeźdźcem, raczej uczuł, co się w tej chwili z nim i z panem jego działo. Dowódzca Czerkiesów poklepał go



Co więcej szydził z nich, bo przesadzając to w tę to w owę stronę przez szerokie rowy, igrał sobie z niómi.... *(Str. 238.)*

dział może stu sążni zupełnie wolnej drogi. Wtem przybiegł jakiś Litwin, który siedział pod dachem i patrzył na wszystko przez strzechę; zadyszany przybiegł i powiada, że się pośrodku chmielnika ruszają wierzchy tyk, więc tam w chmielniku jeszcze coś siedzi. Komenderowano tedy znowu tych, co mieli dubeltówki, od polnej drogi z za chmielnika z rozkazem, aby przeszli chmielnik. Czekamy chwilę, aż z chmielnika wyjeżdża Czerkies na koniu; ale jakież było zdziwienie wszystkich, gdyśmy w koniu poznali owego białego mameluka, a w jeźdźcu dowódzcę Czerkiesów. Wyjechał z chmielnika stępo, przejechał pomiędzy po szyi, koń się uspokoił, a on wyjąwszy białą chustkę skinął nią kilka razy i pojechał stępo na kołowrót do szpicy, gdzie stał komendant oddziału. Ułani rozstąpili się, gdy wjechał między nich, stał tylko oficer na przeciwko niego w poprzek drogi tuż przed kołowrotem zamkniętym. Dowódzca zatrzymał konia i skłonił się oficerowi, zdjął z siebie szaszkę i razem z dużą kieską złota oddał Ułanowi najbliższemu. Ułani chcieli pochwycić za niego i konia, ale oficer krzyknął: „Precz wiarusy! kiedy się honorowo zdaje, trzeba go honorowo wziąć.“ Na te słowa cofnęli się Ułani. Z tej chwili korzystał Czerkies, wyrwał

z wściekłością kindżał i chwycił go w zęby; potem zebrał konia obydwoma cuglami, a przez wierzch zadu konia, na którym jechał oficer, i przez zamknięty kołowrót następnie, przesadził w dwóch susach; kilka strzałów padło za nim, ale koń jego nakrył się ogonem i ruszył błyskawicą po tych dwóch skokach; o kilkadziesiąt kroków stanął w miejscu, poklepał konia i pojechał stępo dalej; a za nim Ułani osłupieni z konia zsiedli, kołowrót otworzyli dla siebie i cwałem dalej pogonili za nim. Znał się on już na koniu swoim bezpiecznym, co więcej szydził z nich, bo przesadzając to w tę to w owę stronę przez szerokie rowy, igrał sobie z nimi i pytał się, czy im się jego koń podoba, i obiecywał przysłać Czerkiesów po szaszkę swoję. Widocznie chciał on naprowadzić Ułanów na jakąś zasadzkę; rowu takiego, jakie on przesadzał, żaden koń ułański nie był przesadzić w stanie. Więc po krótkiej pogoni powróciła szpica z wielką konfuzyą; komendat podjazdu prosił, aby nie mówić o tem zajściu w brygadzie, bo wstyd wielki, że taka ryba uszła z matni, co już w matni była.

Oficer czuł to, że uchybił bardzo, że nie kazał ująć Ułanom i konia i jeźdźca; ale tłumaczył się tem, że nie było kogo chwytać, bo stał między nami i rozbrajał się sam, a nikt nie mógł przewidzieć, że siedzi na koniu tej dzielności.

Jak grzech rozdzielają czasem nasi chłopi na całą gromadę, tak tu rozdzielano wstyd na całe dwa plutony; i był to sekret familijny, którego zdradzić nikt nie miał prawa, póki trwała wojna. Lecz dziś nie żyje już pewno i ów Czerkies, co nas na białym dojeżdżał mameluku, i wiem o tem z pewnością, że komendant owego podjazdu nie żyje; więc dla nauki tych, co może na przyszłość z Czerkiesami walczyć będą, zaciężnymi pod chorągwiami moskiewskiemi, daję tu tę przystrogę, aby się rycerskiemi uczuciami nie kierować, kiedy z Czerkiesami sprawa.

Po tem zajściu mieliśmy znowu parę dni spoczynku; całe wojsko stało w wielkim obozie pomiędzy kilkoma wielkiemi wsiami; znajomi z różnych pułków spotykali się tu z sobą i odwiedzali się nawzajem.

Pojedyńcze oddziały powstańców zostały częściowo wcielone do starych pułków, i ta nowa organizacya wojska oddzieliła od siebie towarzyszów broni, którzy od początku powstania na Litwie walczyli obok siebie.

Było tedy niemało scen serdecznych, gdy się w tym wielkim obozie spotykali z sobą towarzysze broni, którzy się z oczu stracili. Kilka jak mówię wiosek zajmował obóz; kupcy i rzemieślnicy przybyli do obozu; w każdym dworze i dworku, na każdej plebanii, grzmiała huczna muzyka i wyprawiano baliki i tańce. W jednym z tych dworów stał sztab główny, i z każdą chwilą przybywało coraz więcej gości do obozu, obywatele z żonami i córkami, a wszyscy wieźli z sobą i za soba żywność i napoje, tak iż w każdym punkcie obozu, gdzie się taki tabór gości zatrzymał, rozpoczynała się odrazu uczta; bo wszędzie znalazł się znajomy lub krewny, syn, brat, mąż lub narzeczony, który kolegów z sobą przyprowadzał, z przybyłymi zaznajamiał i na ucztę zapraszał. Nie poznać tu było prawie dawnych sponiewieranych oddziałów powstańczych; wszyscy się wyparzyli w łaźniach, wszyscy się ogarnęli i postrzygli; zwożono z całej okolicy bryki bielizny i mundurów, przyborów wojskowych, a to wszystko było tak odrobione podług przepisu, że uwierzyć by można w to, iż to nie z Tylży i Królewca przyszło, ale że te transporty przystawić kazał rząd narodowy z Warszawy do obozu. Jakoż byli Litwini przekonani, że to rząd narodowy takie cuda robi, gdy w przeciągu kilku dni ujrzeli oddziały w mundurach nowych, a nowo mianowanych oficerów przy świeżych szlifach, ryngrafach, ładownicach i pendentach. W sztabie głównym zebrali się też byli członkowie rządu narodowego, i powstańcom za całe powstanie, a wojskom koronnym aż po bitwę Ostrołęcką wypłacono żołd; więc było się o czem zabawić i było się za co przystroić. Polskie dwuzłotówki, że miały stempel orła i pogoni, przyjmowano w wartości rubla i talara, nawet kupcy i przemytnicy pruscy zastosowali się do tego kursu patryotycznego; i nie źle wyszli na tem, bo biorąc potrójne i poczwórne ceny za wszystko, mieniali następnie dwuzłotówki w obozie, a przybyli goście dawali im chętnie za taką dwuzłotówkę rubla i talara.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o tem, iż lubo dowódzcy oddziałów i pułków zamawiali gotowe mundury i efekta wojskowe w Prusiech, szyto też także mundury przez cały czas powstania w obozie. Dziwnie wyglądała ta mundorowa komisya: na długich drabiniastych wozach były wzdluż wozów przy drabinach przyprawione dwie ławki, i na tych ławkach siedziało dziesięć do dwunastu żydków krawców i szyło mundury od świtu do nocy, czy to w obozie czy w marszu; kiedy się oddział do miasteczka zbliżał brano w rekwizycyą: krawców, szewców, złotników i ślusarzy z ich naczyniem na te wozy; był osobny komendant, który ten tabór pod zasłoną wojska prowadził; i widziałem to, że na poczekaniu po wzięciu miary był cały żołnierz we dwie godziny nieraz ubrany i umundurowany po formie, tak wielkiej wprawy nabrali intendenci i rzemieślnicy, że każdy kawałek munduru zosobna odrobiony zrastał się prawie cudem na poczekaniu; i ledwo można było poznać kolegów w dni parę, tak się to postroiło w świeże mundury i szlify, w ryngrafy i ładownice.

Przed dwór, w którym sztab główny kwaterą stanął, zajeżdżały co chwila ekwipaże, ale tu nie było zabawy. Powaga głównej kwatery była nienaruszoną; odwach przed dworem, adjutanci na służbie w ganku, wierzchowe konie gotowe przed gankiem trzymano, i posełki z rozkazami w ciągłym biegu.

Nasz brat tedy, co się niewymownie po opałach przebytych w powstaniu tem cieszył, że się przecie ktoś inny znalazł, co za niego myśli i o nim radzi, nie szukał sztabu głównego, ale dworeczku i dworku, plebanii i oficyny, bo tu było wesoło. Choć każdy pułk miał swoję muzykę, wypłynęło jak z pod ziemi mnóstwo jeszcze innych kapeli żydowskich i dworskich; a gdzie w domu za ciasno było, tam tańczono przed domami pod gołem niebem na umieconych podwórkach; jedne baliki poczynały się z wieczora i trwały do białego dnia, a drugie już po mszy obozowej i śniadaniu około południa.

Nikt nie żyje tak pełnem życiem chwili jak żołnierz wśród boju; i dziwne to uczucie tej niepewności jutra, a tego serdecznego pochwycenia chwili szczęśliwej, która już może ostatnią dobrą chwilą życia będzie. Często otarła łzy piękna tancerka myśląc o tem jutrze; a w kielichu na jej cześć i zdrowie, lub na pomyślność ojczyzny wychylonym, utonęła także niejedna łza młodych rycerzy. Było coś tak rzewnego w tej wesołości, tak głębokiego w tej zabawie obcych i nie znanych sobie zupełnie istot, które się na chwilę ku sobie zbliżone uczuły, tak serdecznie i silnie pochwycone, jak gdyby z sobą razem miały pójść w dalszą podróż życia, chociaż jakieś tajemne wewnętrzne uczucie mówiło im, że się ich gwiazdy nigdy więcej nie spotkają z sobą.

Przed takim to dworkiem grała w ganku żydowska kapela; brzęczący cymbał wyprawiał cuda; słońce poczęło się chylić ku zachodowi, a koroniarze przyspiewywali w żwawym krakowiaku przy tańcu Litwinkom. Dwieście par może krakowiaka sunęło po dziedzińcu kołem, i tchu nie stawało prawie, kiedy przyszło przed muzyką zaśpiewać znów zwrotkę; pierwsza para upomniała się o kielich, i muzyka ucichła na chwilę. Wtym podniósł się tuman kurzu w obszernym rynku, który w kwadrat otaczały dworki i dworeczki, kościół i plebania, wikarówka i poczta, gospoda i drewniany ratusz starego bardzo stylu z podsieniami i krużgankami, z wieżyczkami, przystawkami i narożnikami, w którym przemytnicy i kupcy pruscy założyli swój bazar. Z tumanu kurzu wysunął się czterokonny powóz, dzielne cztery taranty niosły go, a woźnica palił raz po razu z bata. Obok powozu jechał konno okazały mężczyzna, obok niego na prześlicznym białym dzianecie jechała smukła amazonka, w pąsowej konfederatce na głowie z okazałem białem czaplem piórem, za nimi sadziło dwóch pachołków i pojeżdżały bardzo żwawo cztery furgony w hołoblach, każdy furgon trójką koni dzielnych uprzężony.

„To nasz kapitan“ — ozwało się kilkanaście głosów od krakowskiego koła ku jadącym, i poskoczyli z dziedzińca oficerowie i powstańcy, którzy się już brali do kielicha, i wstrzymali powóz; panie wysiadły z powozu i weszły w dziedziniec, ale okazały mężczyzna na karym koniu i piękna amazonka, co obok niego jechała, nie zesiedli z koni, wjechali oboje w dziedziniec okrzykami radości witani, a zatrzymawszy się obok ganku, prosili, aby nie przerywać tańców. Te panie, co z powozu wysiadły, zaproszono w tejże chwili do tańca, a że kielichy były już nalane, więc wypito zdrowie przybyłych.

Mężczyzna, który siedział na okazałym koniu, był to zamożny obywatel, który w sąsiedztwie miał majątek; obyczajem rodu swego służył on w młodości swojej aż do kapitana wojskowo w korpusie litewskim; ale ożenił się młodo, a żona jego, która w tej chwili z trzema przybyła córkami, była raczej do ich starszej siostry podobną niż do matki, kiedy obok siebie w krakowiaku stały; najstarsza z nich była to owa smukła amazonka, którą ojciec na chłopca niby chował, bo mu Bóg nie dał syna.

Kapitan (żałuję bardzo, żem zapomniał jego nazwisko) był z czerkieska ubrany, miał srebrną ładownicę na sobie i kosztowną karabelę przy boku, siedział w wojskowym rzędzie na koniu prześlicznie jak malowany — a cóż dopiero powiedzieć o amazonce? Co było ludzi w dziedzińcu, wszystkich mężczyzn i wszystkie panie oczarowała do razu. Oficerowie klękali przed koniem pijąc jej zdrowie, a ona śmiała się jak dziecko i spoglądała na ojca tylko. Oficer z pierwszego pułku Ułanów prowadził krakowiaka, a kiedy się po wiwatach ozwała znowu muzyka i krakowiak obszedł koło, zatrzymały się wszystkie pary przed amazonką, oficer ukląkł przed jej koniem i zaimprowizował krakowiaka, który mi dotąd został w pamięci:

Albo spuść się z konia — albo zakryj oczy —
Bo mi z piersi serce do ciebie wyskoczy!
Albo spuść się z konia — albo odjedź sobie —
Bo ja nie zapomnę tych oczu i w grobie.

Oklaski i wiwaty nie chciały brać końca po tym krakowiaku; chciano zdjąć z konia ojca i córkę, ale kapitan krzyknął z konia donośnym głosem: „Proszę o głos!“ — i jak mak siał w całem kole.

„Panowie! ja jadę do głównego sztabu i rządu narodowego, bo to czas wojny, a ja Tatar, co na wolnem prawie od czasów Witołda służę ojczyźnie, jestem porucznikiem i chorążym mojej okolicy z dziada pradziada. Bóg nie dał mi syna, to musiałem choć najstarszą dziewczynę wychować na koniu, i nie zdejmujcie mnie i jej z konia, kiedym ja jako Tatar litewski siadł na konia. Wedle praw i przywilejów naszych mamy służyć wojskowo za rozkazem Wielkich Ks. Litewskich, więc ja jadę po taki rozkaz do głównego sztabu. Tatarzy moi niepokoją się, i boję się, żeby mi jakiego głupstwa nie zrobili; więc nie wstrzymujcie mnie ani córki mojej, bo jak rozkaz będzie dany, to wam postawię pułk tatarsko-ułański, który i bez przewodnika przejdzie po polu“.

„Wiwat! niech żyje kapitan, niech żyją litewscy Tatarzy!!“

Kapitan otarł łzy, a córka dziękowała suchem okiem za cześć jej ojcu oddaną. „Zostawiam wam co mogę — rzekł kapitan ruszając z miejsca — zostawiam wam żonę i dwie córki; tu macie furgony z żywnością, które wam żona moja odda, ale mnie puszczajcie, bo to czas wojny, a ja Tatar".

Wszyscy ściskali rękę jego, całowali grzywę konia amazonki, kraj jej szaty i jej piękny turecki pałasik, któryśmy teraz dopiero spostrzegli przy jej boku.

Około północy ozwała się nagle komenda: „Na koń!"

Co się dalej z tem wszystkiem stało, z tą całą piękną fantasmagoryą narodowych uczuć i postaci, nie wiem.

Droga nasza prowadziła przez lasy, a gdy świtać poczęło, powitał nasz pułk zorzę poranną jak zwykle pieśnią Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze"; i zdało się, że jakaś niezmierzona przestrzeń legła pomiędzy wrażeniami dnia zeszłego a tem, co nas otaczało obecnie.

Tu opowiem zkąd poszło, że kapitan Tatar znalazł między nami tylu znajomych, gdy się ukazał w obozie na drodze:

Było to już po połączeniu się legionów akademików wileńskich z powstaniem Ks. Ogińskiego; ujrzawszy się w większym obozie i pod komendą takich ludzi jak Ks. Ogiński i Karol Załuski, jak pułkownik Adam Sołtan i Matuszewicz, czuliśmy się nieco bezpieczniejsi.

Na większy obóz nie nacierali już tak zuchwale Moskale, i było kilka dni spoczynku; a dla nas, cośmy dotąd tylko w puszczy przebywali, było bardzo nową i miłą rzeczą, stanąć kwaterą w wiosce.

Litwini są prawdziwie pobożni; więc gdy nic nie groziło, chcieli odbyć praktyki religijne, i w legionie akademików ułożono sobie, że w najbliższym kościele trzeba będzie uprosić nabożeństwo żałobne za tych kolegów, co w boju legli, i wotywę uprosić na intencyę tych, których Bóg z tylu niebezpieczeństw wyprowadził cało. Złożyli się tedy, a mnie i Emerykowi Staniewiczowi polecili w legionie wykonanie tej uchwały.

Majątek, w którym nam wyznaczono kwaterę, leżał w żyznej, pięknej, otwartej okolicy; ledwo okiem przejrzane łąki, które gdzieś znać ku wielkiej rzece spadały, ciągnęły się w jednę stronę, i na tych łąkach pasło się stado koni w trzech osobnych hurtach, klacze ze źrebiętami, źrebce, a w trzecim już jak się zdało do arkanu dorosłe konie.

Po drugiej stronie okolicy wznosiły się lekkie wzgórki, i najprzód wielkie obszary orne, a następnie wieńczyły starodrzewne dąbrowy, lipowe gaje szczyty tych pagórków. Przed nami leżała wieś duża z obszernemi zabudowaniami dworskiemi, opiętemi sadem i chmielnikiem. Przed bramą dużego dziedzińca wstrzymała się szpica, a silny głos zawołał ku nam od dworu z ganku: „Maszerować w dziedziniec! tu w prost do bramy!" Dziedziniec był tak obszerny, że się cały oddział nasz mógł w nim pomieścić; więc z kolei weszła najprzód jazda, a potem plutonami legion akademików, a tylko parę furgonów zostało jeszcze na drodze. Mężczyzna czterdziestokilkoletni może, na którego komendę weszliśmy w dziedziniec, był panem tego majątku. Był to człowiek w pełnej sile, i już na pierwszy rzut oka poznaliśmy w nim dawnego wojskowego, po spojrzeniu, po ruchach, po głosie i po tych rozkazach, które dawał z ganku; konie kazał przywiązać u płotów, broń złożono w kozły, a kiedyśmy z koni zesiedli, wyszła pani domu z trzema córkami w ganek, i na wielkiej srebrnej tacy witała nas chlebem i solą. Dziedziniec był tak obszerny, że bez obawy dla budynków można było rozłożyć ogniska; ludzie dworscy roznosili poczesne i prowianty po ogniskach, a na obszernych podsieniach dworu i w ganku zastawiono stoły do śniadania.

Rzadko się zdarzy widzieć tak piękną rodzinę jak ta, która nas w tej chwili podejmowała w domu swoim; i co się bardzo rzadko na Litwie zdarza, cały ród miał jak heban czarne włosy, ogniste czarne oczy, prześliczne regularne rysy i jakąś niezwykłą powagę. Pani domu wydawała się jak starsza siostra swoich córek, a uprzejmość, z którą około stołów razem z córkami służyła, zobowiązała wszystkich nas niewymownie.

Po śniadaniu, obszedł gospodarz domu z kilkoma oficerami cały obóz, który stał w dziedzińcu, a po zapytaniach i uwagach jego poznać było człowieka wojskowego oka i znajomości rzeczy. Kilku dworskich ludzi postępowało za nami, a gdyśmy całą piechotę obeszli, rzekł znać do podstarościego swojego: „Siądź na konia, i niech mi z zaścianków i z wiosek przystawią tu zaraz chodaków ze wszystkimi przyborami dla całego oddziału; bo cała piechota ma złe buty i pokaleczone nogi, więc ją trza po litewsku przebrać w chodaki i nauczyć tych paniczów chodzić w chodakach, to i nogi się wygoją i obuwie w każdej wsi znajdzie się dla nich.

Kiedy obejrzał oddział naszej jazdy, zmarszczył się bardzo i rzekł:

„Panowie znacie się znać dobrze na łacinie, ale na koniach i okulbaczeniu nie bardzo; no, daliżeście tym koniom łupnia! Oj! cieszcie się, że nie pod moją komendą służycie".

Tu kazał rozkulbaczyć konie, i zasmucił się, bo niektóre z nich były bardzo posednione; kazał sobie podać kredy i odsednione konie znaczył tatarskim znakiem swego stada, wszystkie też wojłoki od posednionych koni kazał złożyć na kupę i dać nowe wojłoki z lamusu. Gdyśmy do ganku wrócili, szła jak najweselej rozmowa, ale gospodarz domu rzekł do najstarszej córki: „Nie ma moja panienko czasu do zabawy, przebierz się jakoś króciej, bo mnie tu wyręczyć potrzeba; odsednione konie odznaczyłem naszym znakiem kredą, każ że je z kolei prowadzić przed

kuźnię i rozkuć, a potem w hurcie popędzić na leśne łąki. Tomko będzie sedno leczył i poprężnice i będzie z nimi dniował i nocował w lesie. Niewiem, czy to się za trzy miesiące wygoi, bo to dzikie mięso już się miejscami przerzuca; jak się konie wygoją, to wam je odeślę do obozu, a teraz trzeba dać nasze pod jeźdźców. Co się ze stajni nada, to wziąć ze stajni, a ze stada każ moje dziecko brać tylko już jeżdżone konie."

Oczy zaświeciły się dziewczynie, i wbiegła do dworu, po krótkiej chwili powróciła po męzku ubrana, ale źle cały obóz akademików z uniesienia. Uderzyło to nas już przedtem, kiedyśmy ją pierwszy raz w długiej sukni jak damę ubraną ujrzeli, że miała krótko ucięte włosy, które w lekkich lokach opływały głowę widocznie nie trefione, lecz kręcące się z natury do tyla, iż za każdym żywszym ruchem głowy układały się w coraz nowe partye i pukle.

Teraz dopiero do tego stroju przypadało to ubranie głowy, dziwnie pięknie; a cóż kiedy z kolei kazała wyprowadzać konie, które nam nasz gospodarz w zamian za nasze posednione dawał? Cóż to za czarodziejski urok



ZAMEK TĘCZYŃSKI. *(Str. 242.)*

mówię po męzku, bo był to raczej strój Turczynki: na głowie fez czerwony, na niej jasno seledenowy kaftan złotymi sznureczkami bogato wyszyty, który nie dosięgał kolan; majtki były czarne aksamitne szerokie i fałdziste, bucikiem zręcznie w kostki ujęte, przy bucikach złote ostrogi; rękawiczki miała grube czarne z małymi karwaszami z lakierowanej czarnej skóry, w ręku duży długi szpicrut, jakiego się używa przy przepędzaniu konia na lince.

Kiedy się w tym stroju ukazała w ganku, szalał był w każdym ruchu, niewieścio wdzięczny, a po męzku dzielny?! Z kolei kazała wyprowadzić konia, który miał pójść pod oficera; młody chłopak prowadził konia, ale koń rwał się, a on nie umiał mu dać rady i nie umiał go postawić spokojnie; zniecierpliwiona patrząc na to poskoczyła raźno ku koniowi, wyrwała chłopcu cugle z ręki, osadziła konia i uderzyła go takim wzrokiem, iż jak wryty stanął w miejscu, a drżał na całem ciele.

Zrozumieliśmy, z kim tu sprawa w tym domu. Cóż

dopiero gdy wyprowadzono jej dzianeta i gdy go dosiadła! Była po męzku ubrana, ale dzianet był okulbaczony w damskie siodło, i siadła po damsku na konia; sam ojciec przytrzymał jej strzemię i podniósł ją na konia. Kilku z naszego grona chciało jej towarzyszyć do stada, ale ona uśmiechnęła się ironicznie i rzekła: „Niepotrzeba tego; panowie macie strudzone konie, a ja tam sama prędzej i pojadę i wrócę.“ Kilku ludzi dworskich ruszyło za nią, puściła cwałem konia, który nadto w podskokach bujał sobie dzielnie, i w jednej chwili znikła nam z oczu. Matka i siostry patrzały na to bardzo zwykłym wzrokiem, ale ojciec odprowadzając ją oczyma pokręcał wąsy, i widocznie rad był i z konia i z amazonki swojej.

Dwadzieścia ośm koni wzięliśmy z tego dworu za nasze posednione w zamian, ale gospodarz pilnował sam okulbaczenia i podkładów pod siodło. Skrwawione nasze wojłoki leżały na kupie, a świeżo wzięte i okulbaczone konie trzeba było trzymać w ręku krótko, bo rżały i zrywały się co chwila.

Kiedyśmy gospodarzowi domu oświadczyli, że chcemy mszę żałobną i wotywę odprawić kazać w najbliższym kościele, i kiedyśmy go oto prosili, aby uprosił księdza o nabożeństwo nazajutrz: zdziwiło nas to bardzo, iż bardzo obojętnie przyjął tę prośbę i nie dał nam żadnej odpowiedzi; po obiedzie tedy ponowiliśmy znowu prośbę naszą... Gospodarz uśmiechnął się i rzekł: „Kiedy chcecie zamówić nabożeństwo, to nie udawajcie się do mnie, bo ja jestem wyznawca Koranu, jako Tatar litewski służę wam i ojczyźnie, ale o mszy w kościele radźcie już sami bezemnie.“

W osłupieniu stanęliśmy wszyscy. Jakto, żeby dom wyznawcy Koranu i Tatarów był tak do niepoznania polskim szlacheckim dworem? Gospodarz spostrzegł osłupienie i zadziwienie nasze, i rzekł po chwili bardzo poważnie, a nawet z pewnem rozrzewieniem: „Po śmierci o wiarę rozprawi nas Bóg, a tu jako synowie jednej ziemi kochajmy się, bo nam ojczyzny potrzeba.“ Wielkie wrażenie zrobiły te słowa na nas wszystkich, i unikano wszystkiego, coby mogło potrącić o wiarę lub wolność sumienia.

Dwóch akademików udało się do najbliższej parafii, by uprosić mszę; był to wszakże dzień Zielonych świątek i mszy żałobnej być nie mogło, ale do świtu ruszyliśmy w wojskowym szyku do kościółka najbliższej parafii.

Zdala witały nas już dzwony. Cóż to za głos z nieba ten dzwon dla ucha, które już prawie odwykło od jego harmonii! Cała wioska była przystrojona majem, cała droga przed kościołem osypana siekaną jedlinką; szpalerem stały niewiasty w bieli postrojone wieńcem maju i trzymające przed sobą gorejące lampy. Cała wieś miała pozór świąteczny; wstąpiliśmy w ten szpaler, który do drzwi kościoła prowadził. Niewiasty spiewały chórem jakąś pieśń litewską, i wydały nam się podobne do owych mądrych dziewic w pieśni, czekających na przybycie oblubieńców. We drzwiach kościoła powitał nas ksiądz z wodą święconą, a „Te Deum laudamus“ odspiewał już cały legion chórem; byli tacy w legionie co przystępowali do spowiedzi i sakramentu, ale wszystkim nam po nabożeństwie wydało się, jakbyśmy po spowiedzi byli.

Tatar z rodziną swoją stał przed drzwiami kościoła z odkrytą głową, i dopiero na śniadaniu u ks. proboszcza pożegnaliśmy tę piękną i zacną rodzinę wyznawców Koranu.

ZAMEK TĘCZYŃSKI.

Od niepamiętnych czasów słynęła w Polsce z dzielności rodzina Tęczyńskich, przez długie wieki głośna z wielkich czynów nie tylko w ojczyźnie, ale i w postronnych nawet zamorskich krainach. Sławni ci Tęczyńscy posiadali pod samym Krakowem, bo tylko trzy mile od stolicy, rozległe i bogate włości, a w nich wspaniały zamek Tęczyn, od którego nazwisko przybrali, w prześlicznej położony okolicy, na wspaniałej górze skalistej, a zbudowany około roku 1319 przez Nawoja, kasztelana krakowskiego, herbu Topor, od którego sławna ta rodzina ród swój wiodła.

Starożytny zamek Tęczyński, przeznaczony przez założyciela, aby przetrwał długie wieki, stał na niewzruszonej bo granitowej posadzie, z najtrwalszego budowany materyału. Nie równaj go z dzisiejszemi budowlami, chociby także zamków miano nosiły! Wyniosły to był, w całem słowa tego znaczeniu olbrzym, dumny z siebie i z swoich dziedziców potęgi; długo też nad całą przyległą panował okolicą, długo nawet cudzoziemców zadziwiał swoją wspaniałością, i urągał zuchwale okolicznym pomniejszym zamkom, wzniecając zazdrość w sercach panów rycerskich, co w pobliżu Tęczyna swoje pozakładali siedziby. A jeźli dziwili się mu cudzoziemcy, to istotnie mieli się czemu dziwić. Tęczyn bowiem, jako wielce wspaniała budowa, zaprawdę godzien był największego podziwu. Sławny on wielkiej pamięci dygnitarz koronny i obywatel prawy, a przytem jeden z najbogatszych panów polskich, Jan z Tęczyna, kasztelan wojnicki, nie szczędząc kosztów i starań, przyczynił mu zewnątrz wielkie mnóstwo najcenniejszych ozdób, i w tej pysznej możnego rodu kolebce nagromadził zbiór najznakomitszych dzieł dłuta i pędzla. Lśniły się bogate komnaty od złota i marmuru, w każdym

kącie widać było dostatek i przepych pański, z najlepszym smakiem w parze. Na całej też polskiej ziemi, chociaś ją przeszedł wszerz i wzdłuż, nadaremno byś szukał pomiędzy tysiącami zamków i zameczków drugiego równie wspaniałego jak Tęczyn, bo nigdzie takiego nie było, któryby z nim dał się porównać, i chyba tylko w starożytnej Piastów stolicy, królewskie mieszkanie na skale Wawelskiej, mogło iść z nim w porównanie. Piękne ogrody otaczały zamek dokoła; na pochyłości góry ciągnęły się dobrze urządzone winnice, a pomiędzy niemi wiła się droga, prowadząca do bramy zamkowej, umocnionej potężną wieżą.

Przez długie wieki Tęczyńscy przemieszkiwali w tym zamku, aż gdy nie stało dziedziców po mieczu, przeszedł z Izabellą, córką ostatniego tej rodziny potomka, Jana, wojewody krakowskiego, w dom Łukasza Opalińskiego, marszałka koronnego. Poźniej odziedziczyli go Lubomirscy. W roku 1655 Szwedzi pod wodzą Königsmarka zdobyli go przemocą, i wyciąwszy w pień załogę, zrabowali wszystkie kosztowności, które wieki nagromadziły w tym skarbcu rodzinnym. Dzielny Jerzy Lubomirski odebrał Tęczyn z rąk szwedzkich, lecz wówczas był on już prawie zamieniony w gruzy. Szwedzi bowiem, ustępując z zamku, spalili go. Chociaż odnowiony poźniej przez możnych dziedziców, nie powrócił już do dawnej świetności. Nie długo też potem był zamieszkały. Opuścili go właściciele, którym się uprzykrzył, i odtąd wspaniała budowa zaczęła chylić się do upadku. Nareszcie zarysowały się mury, runęły sklepienia, i... skończyło się wszystko. Gdzie niegdyś wyniosłe stały baszty, dziś piętrzą się stosy gruzów, a po nich wije się powój i bluszcz, na wyłomach murów dzikie porasta ziele, a z komnat, co niegdyś królewskim lśniły przepychem, nie zostało ani śladu.

Letnią porą zwiedzają zamek Tęczyński co niedziela goście z Krakowa, przybywający tłumnie koleją żelazną do Krzeszowic. Wówczas urocza okolica ożywia się na kilka godzin gwarem wesołym przyjezdnych, poczem znowu głęboka, poważna nastaje cisza, jaka tu zwykle panuje.

St. Nowiński.

Urywki z rękopismu J. Gordona p. t. „Gdy się było młodym.“

(CIĄG DALSZY.)

W każdym ruchu Malwiny, rozciągniętej na sofie, przebijało się pewne zaniedbanie i miękkość, będąca cechą delikatnych, pieszczotliwych niewiast, która uderzającą stanowiła sprzeczność z jej dzielnością i sprężystością zwyczajną. W ogóle, jakiś pociąg wydzielał się z całej jej postaci, podobnie jak woń ulatniająca się z rośliny.

Te iskrzące, czarne oczy, usta wiśniowe napół otwarte, zkąd wyglądały zalotnie dwa rzędy pereł, gorącem otoczone tchnieniem; szelest jedwabnej sukni, w fałdach której siedział szatan-kusiciel ukryty: — wszystko to oddziaływało na mą wyobraźnię i wzbudziło... co?... sam nie wiem; prędzej nie dające się wyrazić kłopotliwe położenie, niż jakie inne uczucie, pomimo że nie byłem Serafinem, ani też wychowano mię na wzór panien, co nic w życiu nie czytały, wyjąwszy „Złoty Ołtarzyk“. Prawdę zaiste powiadają Paryżanie: *Si la jeunesse savait!...*

Snać, że Malwinie ciężył prunelowy bucik, bo go zrzuciła z kształtnej, acz nie zbyt małej nóżki, którą gdy założyła na drugą nóżkę, nie podobna było niedostrzedz czerwonej podwiązki na bieluchnej opiętej pończoszce.

— Aj! jakże mi i ten drugi bucik dopieka — doda po chwili z kapryśno-figlarną minką.

I drugi bucik odleciał na stronę.

— A i ten niegodziwy grzebień, co mi zawadza!

I spadły w nieładzie na alabastrowe ramiona gęste sploty kruczych warkoczy.

W tem przyniesiono herbatę.

Popijając, szczebiotaliśmy to o tem, to o owem. Malwinie podobały się powieści Balzaka, a nie smakowała w medytacyach Lamartyna, gdyż lubiła czytywać książki francuzkie, nadewszystko powieści, bo te wedle jej zdania wszędzie wniknąć, wszystko objąć potrafią.

Przez otwarte drzwi od sypialni przypatrywała się nam ze złoconej ramy Kleopatra, ze żmiją na obnażonem łonie i z okropną na licu boleścią, w którą wprawiło zachwycającą Egipcyankę ukąszenie gadziny.

Portret ten zwrócił moję uwagę. Znalazłem niejakie podobieństwo mojej bohaterki do wizerunku owej królowej, co sobie dobrowolnie śmierć zadała, zwłaszcza gdy Malwina naśladując jej przemowę, poczęła obiecywać rajskie roskosze temu z niedowiarków, kto się poświęci na ofiarę Izydy, a za to będzie potem smażył się na stosie, upojony puharem wdzięków monarchini, która się sama rzuci w jego uściski — nie wiem dla czego zdało mi się wówczas, że widzę rzeczywistą Kleopatrę przed sobą.

— Och! cóż to za obrzydły stanik z tą twardą rogóżką — doda po chwili. Przez litość, siadaj tu przy mnie... ro-

*

zepnij mi z tyłu haftki, bo się uduszę. Dobrze... tak, tak!... teraz tylko pociąg za ten biały sznureczek u góry.

Pociągnąłem tedy za biały sznureczek, i stanik opadł, odsłaniając prześliczny biust Wenery medycejskiej.

W oczach mi się zaćmiło, i już się szarpnąłem, by pochwycić w objęcia kibić Malwiny, gdy dźwięk fortepianu dał się słyszeć z pierwszego piętra, a z nim spiew, tkliwym i wdzięcznym zawiedziony głosem:

„Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwszą żądano w zamęźcie...“

Ten spiew łabędzi, ten głos tak był znany sercu mojemu! Tyle on wywierał zawsze nademną potęgi! Powstałem z sofy, wsłuchując się w owe lube pienie. Niewypowiedziany żal i wyrzuty sumienia przejęły mię na wskróś. Zawróciłem się, i w roztargnieniu zapomniawszy nawet pożegnać gościnną Malwinę, wyszedłem machinalnie do sieni, nie świadomy dokąd dążę.

Może niegrzecznie postąpiłem. Być to może. Ale inaczej postąpić nie mogłem; byłoby to nad moje siły — gdyż Wandzia blada i cierpiąca przedstawiła się mej wyobraźni.

II.

ŚLUB DUCHÓW.

Do mych piersi drżącą tulę,
Do mych piersi mocno, czule,
Uścisk płaci mi uściskiem.

Nazajutrz miały się odbywać wielkie fajerwerki na Krasińskim placu, już nie pomnę, na jaką uroczystość. Dużo o nich gadano w mieście, i umówiłem się był ze szkolnymi kolegami, że się tam zejdziemy.

Przed wieczorem, po odbytej korepetycyi z Kostusiem, obaczyłem Wandę, siedzącą samotnie w fotelu na ganku, okolającym podwórzec. Naturalnie, zbliżyłem się do niej.

— Zostań ze mną — szepnęła — Pani L. zaproszona na wieczór, wzięła z sobą Marynię, a mnie zostawiła w domu... bo się na mnie gniewa... i myśli, że już z tobą nigdy mówić nie będę... zresztą wie, że miałeś... pójść na widowisko. Czyż prawda?

Ognie sztuczne, przyjaciele, towarzysze młodocianych igraszek, przyszli mi na pamięć. Powiedziałem, że zaraz powrócę. Byłem jeszcze oczywiście dzieckiem, chociaż wiekiem starszym od mojej kochanki, czyli raczej owym dojrzewającym dopiero podlotkiem, który środkuje między młodzieniaszkiem i kawalerem.

Pobiegłem zatem na widowisko, a raz zszedłszy się z poczciwymi koleżkami, trudno mi było tak prędko rozstać się z nimi, jak to uczynić zamierzyłem. Poźniej zaś pomyślawszy, że ona zapewne poszła już na spoczynek i że napróżno spieszyłbym się z powrotem, zabawiłem dłużej, bo aż około godziny jedenastej udałem się do domu.

Lecz cóż to jest?... Tam — cóż to bieli się przy lampie księżyca? Byłożby to przywidzenie, mając nią nabitą głowę? Jestże to zwodnicza mara?... Ale nie — to nie mara — to ona, moja oblubienica, siedząca na ganku w tem samem fotelu, jak ją porzuciłem; nic się w jej ułożeniu nie zmieniło, miała nawet złożone na krzyż ręce, zupełnie tak samo jak przed mojem odejściem; rzekłby kto: udatnego dłuta statua, przyniesiona z jakiegoś muzeum. Lecz nie! takiej statuy żaden Fidyasz, żaden Kanowa by nie stworzył.

Nie zrobiła mi biedna najmniejszego wyrzutu, nie rzekła nic, coby mię dotknąć mogło; zapytała tylko, czy się dobrze bawiłem, ale w tem zapytaniu, w tem jej akcencie, było coś takiego, co mi ukropem padło na serce.

Przyklęknąwszy, ucałowałem jej śnieżne ramiona.

Lecz ona taki miała wówczas głos drżący, przerywany, trwożliwy, tak pełen prawdy, wzruszenia i uroku razem, a sama tak się wdzięcznie słaniała, że czułem się być względem niej występnym; jakiś szczególniejszy proces, nieznane mi dotąd przeobrażenie odbyło się w mem jestestwie. Zamyśliłem się głęboko, rozmarzyłem, i niepojęte tony przygrywały mej duszy.

Wanda uzacniła mię chrztem miłości!

W tem do bramy zakołatano. Drgnienie jej dłoni oznajmiło mi dobranoc, i znikła jak strzała. Wryty na miejscu patrzyłem za odchodzącą, a przez całą tę noc nie zmrużyłem powieki.

Następnego dnia już jej nie widziałem. Podczas, gdy słuchałem kursów naukowych, wywieziono ją na wieś pod jakimś pozorem. Był to dla mnie cios gorszy od gromu. Pamiętam, że na wiadomość o tem wyniosłem się do ogródka, i wlazłszy między krzaki pierwszy raz w życiu zapłakałem, ale tak rzewnie, tak tęskno, jak gdyby żal mój nawet był ciężkim grzechem, którego nie godzi się przed ludźmi wyznawać. Zdziczałem na umyśle — świat wydał mi się niewdzięcznym, pustym i bez barwy.

Pomimo to pani L. była jeszcze grzeczniejszą, niż codziennie, litując się bez wątpienia nademną.

— Proszę — ozwie się pewnego razu — pójść z nami do teatru, jeźli łaska. Dobrski będzie spiewał, pan się troszkę rozerwie, co mię wielce ucieszy; gdyż wierzaj mi pan, że bardzo mu życzliwą jestem. Wszak nie znana panu jeszcze opera Robert diabeł?

— Diabeł czy szatan, Robert czy Iwan, potępieniec czy opętaniec! wszystko dla mnie jedno; nie ciekawym go oglądać — zawołałem w przystępie głuchej rozpaczy, opuszczając jej progi.

Byłem wściekły, byłem szalony pod wrażeniem chwili, tem więcej, że zacna matrona, na którą odtąd patrzyłem jak na furyą piekielną, jak na obrzydłego potwora, który mi wydarł wszystko, co miałem najdroższego, zmuszoną się ujrzała zmyślać nieboraczka, nie chcąc mi dać adresu swej pupilki, po którą niby przybyli krewni w przejeździe i zabrali ją z sobą, mając zamiar zatrzymać się w ciągu podróży w rozmaitych miejscach, bez oznaczenia wszakże czasu ich pobytu.

Naturalnie, że nie wierzyłem temu wszystkiemu. Z łatwowiernego stałem się podejrzliwym.

I co tu począć?... Roiło mi się w mózgu tysiące różnych pomysłów i kombinacyj. Przeróżne i śmieszne układałem plany, jeden lepszy od drugiego. Chaos w strudzonej łepecie! Choćby za cenę krwi dowiedzieć się o niej postanowiłem. Niczem były przeszkody! Serce me bowiem zraniono tak niespodzianie, tak znienacka, tak podstępnie, a tak srogo, iż gotów za to byłem wykląć świat cały, rozsadzać go po kawałku, wypowiedzieć wrogom walkę na ostre, bodaj zginąć przyszło!

Lecz przedewszystkiem wypadło ją odszukać. Myśl ta nie opuszczała mię i wzrastała ciągle. Z nią szedłem do gimnazyum, z nią słuchałem jednem uchem wykładu profesora, z nią się spać kładłem i z nią wstawałem, aby westchnąć i śmiertelnie się zadumać. Przyzwyczaić się do rozdziału z Wandą w żaden sposób nie mogłem; wszelkie pod tym względem rozumowania i perswazye okazały się daremnemi.

Co gorsza, że nieszczęsny ten stan zamieniał się w gorączkowy. Budziłem się ze spieczonemi ustami, i znowu też same trawiące mię myśli co i wczoraj, znowu taż sama historya, a do tego czarna posępność. Istne męki Tantala!

W opłakany zaprawdę popadłem nastrój ducha, w rozwijającą się chorobę, zwierzając się z mych cierpień jeno starej siąsiadce, o której przychylności dla mnie aż nadto przeświadczony byłem, a która słuchała mię potrząsając tylko głową; gdy nadomiar łoskot daje się słyszeć z mego gabinetu, choć nikogo pod tę porę tam nie było. Mimowolnie zadrzałem, jednocześnie wyczytałem przerażenie w obliczu zabobonnej sąsiadki, i dwa stłumione: ach! wyrwały się razem z piersi naszych.

Rzeczywiście, obraz Matki Boskiej częstochowskiej w alkowie, zawieszony jak się dowiedziałem ręką nadobnej Wandzi, upadłszy na krawędź łóżka ogromnego narobił stuku. Rozumie się, że zła wróżba! Czy nie umarła?... czy nie chora?... co się z nią nakoniec stało? Matka Boska wyraźnie nas ostrzega o jakiemś niebezpieczeństwie... Dla czego Wanda przed odjazdem nie pożegnała się z moją dobrą gosposią, do której tak często przedtem przybiegała, aby ją obsypywać podarunkami? Pewnie jej nie dozwolono. Przebóg, co znaczy ta cała tajemnica, ta straszna mistyfikacya?!...

Te i tem podobne zadawaliśmy sobie naprzemian pytania; aliści drzwi się otwierają i wchodzi... zgadnijcie kto? listonosz!... który wręcza mi pismo od niej. Błogosławiony, mądry, nieoszacowany listonosz! Tak — to od niej — wzrok mnie nie myli — koperta jej własną nakreślona ręką. Co za szczęście, jakaż niespodzianka! Do ust ją przycisnąłem — owę kopertę — i skropiłem łzami, obróciwszy się do muru, aby ich nie dostrzegli profani.

Lecz na rogu koperty dopisano: „pilno!“ Łamię więc co tchu pieczątkę, dobieram się do wnętrza i zaczynam czytać, gdy serce mi bije gwałtownie.

Ale za chwilę odetchnąłem, długiem, przeciągłem, swobodnem tchnieniem. Moja miłość chodząca nie myślała wcale umierać, ani chorować, tylko smutno jej było i nudziła się na wsi bezemnie. Pomimo to, olśniona promieniami mej wyobraźni, jaśniała ułudą, jako osoba niezmiernie zafrasowana z powodu rozstania się z przedmiotem swych uczuć — jaśniała zatem podwójnym wdziękiem: swoim własnym i urojonym przez młodego poetę.

Widzicie łaskawe czytelniczki, jak to wygodnie rozkochać czasem poetę: ma się wtedy spotęgowane wdzięki!

Cokolwiek bądź, dowiedziawszy się o niej lżej mi się zrobiło, w duszy się jakoś rozjaśniło, i po burzy wstąpiła do niej pogoda. Na Kostusia przestałem się już dąsać, i arcypanna Marynia już mniej mi się brzydką być wydała. I o mało z radości nie zdradziłem się był w obec pani L., która zaczęła się we mnie wpatrywać ciekawa, dla czego ni z tego ni z owego cmokam ją po rękach.

Na szczęście spostrzegłszy się zmieniłem rozmyślnie humor. Pierwsza przygoda nauczyła mię od razu ostrożności, zacząłem tedy w milczeniu przemyśliwać nad sposobami dostania się do niej, czyli raczej do nich.

Powtarzam: „do niej“, gdyż winienem tu objaśnić, że w jednym liście dwie panienki naraz do mnie pisały i obie mię do siebie przyzywały. *Embarras de richesses!*

Jedną z nich była, rozumie się, Wandzia blondynka; drugą, daleka jej krewna i powiernica, nie znanej mi barwy; przypuszczać należało, że także ładna, bo taką ją znała myśl moja, a więc nie mogła być inną.

Otóż owa piękność nieznajoma zapraszając mię na pocieszenie kuzynki do swego domu, a właściwiej mówiąc do dworu jej ojca staruszka, wyraźnie oznajmiła, że czyni to jedynie wierząc w mój dowcip i przedsiębiorczość, która jakimś niesłychanym pomysłem wystrzeli zapewne z mej rozumnej czaszki, iżby się do tego dworu dostać, pomimo że opisano mię tam jak węża, i gdzie w razie niezręczności z mej strony zaraz na wstępie poznanym i wydalonym być mogę.

Śliczna historya! jeszczem tam nie przybył, a już mię wyganiają. Bądź co bądź, obaczyć je muszę, mianowicie jednę.

Dla tego pierwszą mrzonką, która się wylęgła w mej „rozumnej czaszce“, było pożyczenie rewerendy od znanego mi braciszka OO. Karmelitów w klasztorze na Lesznie, i pójście na wieś po kweście. Lecz znowu myślę: nie znam obchodów zakonnych, trzebaby podgolić czuprynę, szata udanej pokory nie będzie mi do twarzy, dziewczęta gotowe zachichotać, zdradzę się w obec starego cerbera, chwyci mię na wabika w potrzask, ot, i awantura! a niechże się jeszcze o niej dowie kurator, jenerał Okuniew, to do kata gotowi i ze szkół wypędzić. Zły to zamiar, trzeba przejść do innego.

Gdyby też przejechać się na wronym koniku, niby syn negocyanta, za skupnem zboża, lub dorożką, u której naprzykład kołoby się złamało. Hę!... Lecz znowu myślę: znane to sztuki! Wreszcie szlachcic da koło lub go odmówi, pokaże siano albo powie że go nie ma — i basta. Przypuściwszy nawet, iż dawnym polskim zwyczajem zaprosi na zakąskę łaskawego gościa, to także nie wiele na tem zyskam. W najlepszym razie zobaczę panny i zaledwie kilka słówek o pogodzie do nich przemówić zdołam, i to jeszcze kwestya...

Tak medytując postępowałem ulicą, gdy w tem w rynku Starego Miasta spostrzegam menażeryą pod gołem niebem. Ciekawi widzowie, mnóstwo gapiów z rozwartemi gębami cisnęło się do małp i patrzyli na nie z zadowoleniem; zdziwione małpy przyglądały się podrzeźniając gapiom; a szajne katarynka im przygrywała.

Z małpami powędrować? biada! — pomruknąłem — gdyż nie potrafiłbym niemi komenderować — może by mię jeszcze podrapały i uciekły... kłopot... ogromny kłopot. Ale katarynka, to wyśmienity, jenialny pomysł.

I nie zastanawiając się dłużej, podstąpiłem do koczującej trupy pajaców, zbliżyłem się do dozorczyni zwierząt, podsadkowatej jejmości w cielistych trykotach, i wziąwszy ją na bok, wynająłem od niej grającą skrzynkę na następną dobę, poleciwszy, aby tegoż samego wieczora o zmierzchu przyniesiono ją cichaczem do mego mieszkania. Nazajutrz bowiem postanowiłem o świcie wyruszyć z nią w drogę. Łakoma na pieniądze Niemka po niejakich ceregielach zgodziła się i na to. Ofiarowała mi tylko w dodatku, niby do usługi, jakiegoś chłopaka.

Miałem tedy z nim pomaszerować do kochanki.

— Jakto... i z katarynką? — zawoła może ze śmiechem niejedna z czytelniczek.

— Tak jest moje piękne panie; nie z lutnią, jak Orfeusz do piekieł na odszukanie Eurydyki, lecz po prostu z katarynką na wieś. Orfeuszowi skakały kamienie — do mnie wyskoczą dwie nadwiślańskie dziewoje.

III.

NIE MA ZŁEJ DROGI DO MOJEJ NIEBOGI.

Piesza podróż jest wesoła
I bardzo mało kosztuje,
Nie ugrzęzną w błocie koła,
Ani się resor zepsuje.

Ranek był dość chłodny, lecz zanosiło się na pogodę. Popychane wiatrem chmurki, podobne do kędziorów wełnistych, żeglowały na błękitnem niebios sklepieniu. Spała jeszcze, pogrążona w słodkich marzeniach, luba, wystawna, zawsze świeża i wykwintna Warszawa, a zarazem poważna, boleściwa, milczeniem swem wymowna nasza Mekka polska.

Przebrany do niepoznania, w niebieskim kaftaniku, w wełnianych pończochach i pożyczonych chodakach, opięto i kuso, z rozczochraną czupryną *à la* rozpacz i zamorusaną twarzą, postępowałem obok mego towarzysza, niosącego grającą skrzynkę na plecach.

Szliśmy przez Saski plac. Młodemu paliwodzie, jakim byłem, ani przyszło wtedy jeszcze na myśl, że to tutaj właśnie przedstawiciel walki uciemiężonego narodu, Kordyan, przeskakiwał bagnetów las wśród szatańskiego oprawców chichotu.

Wzrok mój błądził bezmyślnie już to pomiędzy lwami i orłami, co się zuchwale rozsiadły na piedestałach z szarego marmuru, strzegąc z Kozakiem na stójce trupiej woni siedmiu zdrajców, żeby jej nie rozwiali potomni; już to wśród kolumnady, po za którą przesuwały się gdzieniegdzie w cienistych chodnikach szykowne postacie Laszek, używających majówki.

Dusza zaś ma kręciła się u nóg Wandy.

W milczeniu minęliśmy Jerozolimskie rogatki. Nikt nas przy wyjściu z miasta o nic nie pytał, bo i o cóż miano pytać katarynkarzy? Nikt na nich nie zwracał uwagi. I lepiej!

Ujrzeliśmy się niezadługo na szosie, zwijającej się po łanach, jak biała wstęga rozpostarta na zielonym aksamicie; aż utrudzeni, zziajani, padłszy na kobierzec z murawy i złożywszy radę, postanowiliśmy czekać na przejeżdżających, w nadziei, że nas który z nich zabierze w dalszą drogę.

Brzask dzienny ozłocił już doliny; skowronki świegotały, trzepocząc skrzydełkami nad naszemi głowy; miryady niedościgłych okiem owadów brzęczały na źdźbłach trawy; słychać było zdala głosy oraczy krających ziemię w skiby, śmiechy i piosenki wieśniaczek w ogrodach, wuczenie skrzętnych pszczółek osiadających na kwiatkach,

co dopiero rozmrużyły swe majowe rąbki; wszystko nuciło hymn wszechstworzenia.

I ja go nuciłem z całą przyrodą, oddawałem cześć Stwórcy, myśląc o jego cudownem stworzeniu — o pięknej Wandzie.

Potem spojrzawszy na towarzysza ryzykownej wyprawy, zacząłem się nad nim zastanawiać: czy jest bezpiecznie, żeby nieznajomy włóczęga stawiał się wraz ze mną na *rendez-vous*, którem mnie samego tylko zaszczycono? czy nie zagraża to wydaniem tak potrzebnej tajemnicy?

Lecz nie... chłopak ów był to sobie dobroduszny brat Szlązak, inaczej mówiąc Wasser-Polak, gułaj z ospałą i głupowatą miną, przypominającą fizjognomią wołu zaprzęgniętego do jarzma. Nazywał on mię „mospanem Polakiem“, zapytując tylko w prostocie swojej, dokąd my „wandrujemy“, a nie troszcząc się bynajmniej o to, po co my „wandrujemy“? Poznawszy w nim tedy powolne, wcale nie niebezpieczne indywiduum, byle czuwać nad niem i umieć niem pokierować, to mi dodało otuchy.

Czekaliśmy długo, ale przecież pani Fortuna raczyła łaskawie wziąć pod opiekę biednych chłopców, gdyż oto bryka kupiecka, pokryta białem płótnem, toczy się wspaniale, jak rydwan króla królów Agamemnona, z Warszawy ku Krakowu.

— Stój żydku!

— Nyyyyy?

— Damy po półzłotku... za sześć mil.

— Za „sieść“ mil... kikste?...

— No — to po złotówce!... zaczekaj!!

O rudych pejsach braciszek od Jordanu popędza het szkapy.

— Po dwa złote, po dwa! stańcież przecie... Hej, hej! panie arendarzu!...

Stanął.

— Ny... i trynkgield?

— Dobrze, dobrze, zaraz na popasie.

Wpakowaliśmy na wóz naszą maszynę, i sami doń wskoczywszy, roztasowaliśmy się na sianie jak w namiocie. Jak to dobrze czasami nie nazywać żyda ani psem, ani pijawką, ani szmekielesem, tylko uprawnionym panem arendarzem.

„Fur, fur, a gicher!“ — i ruszyły szkapy. Jedziemy, popasamy i znowu jedziemy. Aż drogoskaz z wyciągniętą dłonią, a przy nim św. Jan Chrzciciel w białej komży pod lipą zatrzymują nas. Obydwa zgadzają się najzupełniej z rysopisem w liście... zeskakujemy więc z bryki, wyciągamy katarynę i maszerujemy z nią na stronę, w kierunku prostopadłym do bitego gościńca. Zostaje nam jeszcze pół mili z ogonem do przebycia.

Idziemy, odpoczywamy i znowu idziemy, aż zatrzymaliśmy się o kilkanaście staj od wioski R***, celu naszej wycieczki. Wstępujemy na zwiady do karczmy, stojącej na rozdrożu.

W ciągu tej podróży snać pokolenie izraelskie nas ścigało, gdyż karczmarzem był starozakonny, obdarzony godnością nie tylko propinatora, lecz i jeneralnego pachciarza na okolicę. Właśnie wydawał najstarszą córkę za mąż. W izbie szynkownej panowało zamieszanie i szwargot, jak gdyby cała ta czereda wybierała się w podróż za morze Czerwone.

Zasiadłszy na drewnianej ławie przy ogromnym szabasowym stole, nad którym wisiał olbrzymi o pięciu ramionach mosiężny świecznik, posilałem się podanem mi na cynowym talerzu dzwonkiem nadziewanego szczupaka, popijając go kwaskowatem piwem i zakąsując macą; to jednak nie przeszkadzało, abym od czasu do czasu nie strzelał oczyma na pannę młodą, bo owa Rebeka dosyć mi się podobała. Jej haczykowaty, jakby wystrzyżony z papieru, zgrabny profil noska, usta Putyfary i piekielne ślepięta w dziwnej były z sobą harmonii.

Kilku jasnowłosych parobczaków dworskich w izbie się też uwijało pośród czarnobrewych dziewcząt o wschodnich rysach twarzy.

I dla czego się nie zaślubia ten Wschód z Zachodem? — rzekłem wówczas sobie.

A dziś — przepraszam cię czytelniku, że po dwudziestu kilku latach pozwolę sobie powtórzyć nawiasem toż samo zapytanie; gdyż ilekroć razy przechadzam się po wałach w grodzie Lwa i patrzę na tę polską Jerozolimę, która się dotąd u nas przechowała jak muszelka w bursztynie, myśl ta prześladuje mię ustawicznie.

Otóż — czemu się nie łączy sarmacka rasa z czarnookiemi córeczkami Judei? Miałyżby one nieboraczki być inaczej zbudowane od katoliczek? A przecież to są prawowite arystokratki rodu — bo się wywodzą przez tak długie wieki, aż od mądrego Mojżesza; do tego posiadają grosze, a nawet pałace o krzyształowych szybach i złoconych balkonach; i mówią po francuzku, i grają na pianoforcie, tańczą i spiewają. A jakie porządne, a nawet eleganckie, wytworne dziewuchy — że aż bierze ochota dać samemu przykład i pojąć którą za małżonkę.

A Wanda?... zbrodniarzu!

— Ach prawda! Wanda! Pokazuje się, że mężczyzna z natury swojej zapominać się lubi i zawsze jest ułomnym, choć Wolter śmiał dowodzić, że właśnie ta ułomność stanowi jego wartość. *Mea maxima culpa!...*

Otóż, wracając do rzeczy, wtargnęliśmy na dziedziniec dworski i uszykowali się przed domem szlachcica, gdzie moja miłość rezydowała. Bryś na łańcuchu powitał nas pierwszy, wyszczerzając zęby. Odważnie, śmiało ustawiłem katarynę na czterech rozłożonych nóżkach i — zakręciłem korbą.

(D. n.)



Wątpliwości.

Strumień mówi: „Nie rozumiem na co
Muszę ciągle z gór w doliny płynąć?
Mój bieg cały — próżną tylko pracą,
Kiedy w morzu mam bez śladu ginąć?...“
Na to kwiaty w dolinie rosnące:
„Ty się nie skarz o dobry strumieniu!
Twoje wody sączą życie łące,
Są niezbędne naszemu istnieniu“.

Kwiaty mówią: „Dziwne nasze losy!
Po co wonie rozsiewać z kielicha?
Po co błyszczeć kropelkami rosy?
Gdy z nas każdy tak prędko usycha...“
Na to dziewczę: „Dola wasza — kwiaty,
Jest podziwu godną i zazdrości,
Swoim wdziękiem ożywiacie światy,
Sercom ludzkim niosąc woń piękności“.

Dziewczę mówi: „Na co mi uroda?
Na co w piersiach słodkich uczuć tyle?
Szkoda marzeń serdecznych, ach szkoda!
Wszystko zniknie jako sen za chwilę!...“
Na to młodzian: „Nikt szczęścia nie mierzył
Dnia długością, lecz tem co mu dano —
Bóg ci skarby uczucia powierzył,
Byś kochała i była kochaną“.

Młodzian mówi: „Ach! w tym życia boju,
Co wre ciągle przedemną i we mnie,
Próżno szukam zwycięztw i spokoju,
Po co żyję? — gdy walczę daremnie...“
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami oplotła mu szyję —
Wątpliwości jako śnieg stopniały...
I nie pytał więcej — po co żyje.

El...y.

RYS DZIEJÓW TEATRU LWOWSKIEGO.

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO.

Powziąwszy zamiar założenia szkoły dramatycznej we Lwowie, stoimy dziś u kresu spełnienia życzeń naszych. Dotąd artysta polski, ograniczony na szczupłą liczbę kilku scen, z których język polski i sztuka, przybrana w rodzimą szatę, słyszeć się daje, jeżeli nie mógł się kształcić w szkole warszawskiej, pozbawiony był pomocniczych środków wykształcenia wrodzonego mu talentu, i zmuszony kształcić się bez należytych wskazówek, że tak rzekę instynktowo według wzorów, nie zawsze najlepszych, jakie mu przypadkowo pod oczy podpadły. Szczęściem jeżeli posiadał z natury dosyć zdrowy instynkt artystyczny, talent dosyć potężny, aby dobre sobie obierał wzory, i nie poprzestając na ich naśladowaniu, samodzielnie dalej się rozwijał. Wszelako i warszawska szkoła dramatyczna, w owem smutnem położeniu, w jakiem się dzisiaj nieszczęśliwa ojczyzna nasza znajduje, nie może być tem, czem szkoła takowa być powinna. Oprócz techniki dramaturgicznej nie można tam dzisiaj udzielać nauk, coby umysł młodego artysty w rozleglejsze wyższych pojęć przeniosły sfery, coby w duszy jego zbudziły prawdziwie wzniosłe uczucia onych prawd wielkich, onych cnót rodzimych, których kwieciem ziarno poezyi rozkwita. Jakoż nie tylko szkoła, ale i scena warszawska nie może odpowiedzieć zadaniu sceny narodowej, pomimo że posiada kilku znakomitych, jenialnych artystów. Dopóki pozostawać ona będzie pod zarządem Abrahamowiczów i Hauków, dopóty do znaczenia sceny narodowej wznieść się nie może.

W szczęśliwszem dzięki Bogu położeniu jest scena polska we Lwowie. Tu słowo rodzimych uczuć swobodniej rozlega się z niej i do serc polskich przemawia. Wszelako i tutaj walczyć ona musi nieustannie z trudnościami. Wszak i dzisiaj jeszcze jest, można powiedzieć, tylko w komornem w gmachu hr. Skarbka. I musi o własnych stąpać siłach, podczas gdy niezmiernie wielkie subwencye pobiera teatr niemiecki, pochłaniając dochody fundacyi Skarbkowskiej, wolą fundatora na inny, dobroczynny cel przeznaczone.

A nie od dzisiaj tak się dzieje. Od najdawniejszych lat scena polska we Lwowie zmuszoną była wysługiwać się scenie niemieckiej. Ciekawe są pod tym względem jej dzieje, które tu pokrótce przejść zamierzyłem.

Wnet po zaborze Galicyi rząd austryacki, powziąwszy myśl wytępienia wszelkiej polskości w kraju, imał się wszelkich środków przeprowadzenia systemu zniemczenia tej części Polski. Wprowadziwszy język niemiecki w szkołach, urzędach, sądach, wraz z całym aparatem niemieckiej biurokracyi, sprowadzał zarazem dla przeprowadzenia w praktyce owego systemu przez lat siedmdziesiąt rokrocznie tłumy Niemców i Czechów na urzędników i nauczycieli, którzy mając w Galicyi widoki awansu i dobrobytu, jak zgraje psów wychudłych rzucali się na ów oddany im na pastwę żywioł polski, w mniemaniu, iż z laty powiedzie im się stłumić i wykorzenić ducha polskiego w narodzie. Założenie sceny niemieckiej zdawało się jednym z potężnych ku temu środków; i znalazł się wnet przedsiębiorca, Czech, nazwiskiem Bulla, który z gorliwością podjął się owej misyi cywilizatorskiej i otrzymał przywilej na scenę niemiecką we Lwowie, zapewniający mu mnóstwo korzyści i ułatwień.

Tak więc po raz pierwszy pojawił się uprzywilejowany teatr niemiecki u nas, a każdy przedsiębiorca teatru polskiego musiał już odtąd, chcąc dawać polskie przedstawienia we Lwowie, wyrabiać sobie na nie u Bulli zezwolenie, wpraszać się w komorne do jego teatru, a nadto wszystkie jakiebądź widowiska obowiązane były mocą tego przywileju opłacać się właścicielowi teatru niemieckiego, oddając mu część pewną każdorazowego dochodu.

Rząd darował Bulli kościół pofranciszkański, na placu dykasteryalnym pozostały pustką po zniesieniu klasztorów niektórych przez cesarza Józefa. Bulla przekształcił zabudowanie kościelne na teatr, przybudował salę redutową, pozaciągał na to znaczne długi, i rozpoczął widowiska niemieckie.

Zebrało się było we Lwowie małe gronko polskich aktorów, wędrowna niejako trupa pod przewodnictwem Morawskiego, który tu przybył z Wilna. Zbyt to był wszakże słaby zawiązek, aby się zeń scena polska we Lwowie rozwinąć miała. Stało to się dopiero za przybyciem z Warszawy Bogusławskiego.

W Warszawie istniał od dłuższego już czasu utworzony za panowania Stanisława Poniatowskiego teatr pod dyrekcyą Wojciecha Bogusławskiego. Powstanie Kościuszki powołało większą część aktorów z desek scenicznych na scenę walki za ojczyznę, a gdy ta nieszczęśliwie zakończoną została, i po rzezi pragskiej pławiąc się we krwi strumieniach Suwarow zajął Warszawę, zamilkły ojczyste muzy, rozprószyli się w świat artyści, a Bogusławski za-

brawszy na prędce jak mógł garderobę i sprzęty teatralne, i wysławszy je do Krakowa, sam się też puścił w tamtą stronę ku granicy.

Otrzymawszy po niejakim czasie w drodze, w domu gdzie się ukrywał, zawiadomienie, że towarzysze jego, artyści warszawscy, znajdują się we Lwowie i oczekują jego przybycia, zmienił plan podróży i puścił się ku Lwowu w zamiarze otworzenia sceny polskiej we Lwowie, korzystając z łagodniejszych usposobień rządu austryackiego.

Są ludzie wybrani przez Opatrzność, którzy poczuwszy w sobie powołanie do spełnienia pewnych celów, dążą ku nim nieugięci, łamiąc się z przeszkodami i trudnościami, i niczem z drogi wytkniętej tem powołaniem zepchnąć się nie dadzą. Do tych ludzi wybranych należał Bogusławski, którego słusznie twórcą sceny polskiej nazwać potrzeba. Mając przed sobą cel wzniosły przechowania za pomocą sceny narodowej, śród najcięższych dni klęsk i smutku, świętego ognia miłości ojczyzny i czystości języka narodowego, żadnemi nie dał się ustraszyć przeciwnościami i korzystał z każdej sposobności pracowania dla tej myśli.

W roku 1795 w styczniu przybył do Lwowa. Z przybyciem jego wiązała się nadzieja otworzenia teatru polskiego, a spełnienia tej nadziei oczekiwała z gorączkową niecierpliwością tutejsza publiczność, łaknąca usłyszeć ze sceny mowę ojczystą, której wszędzie, gdzie tylko było można, pozbawić ją usiłowano.

Bogusławski umówił się z Bullą o pozwolenie dania 40 przedstawień polskich, z których ustąpić mu był zmuszony trzecią część dochodu. Wyborny to był interes dla Bulli, rokujący mu kosztem i pracą Bogusławskiego znaczne zyski. Chciał Bogusławski rozpocząć przedstawienia polskie głośną naówczas operą F r a s k a t a n k a, ale na to potrzeba było czekać na przybycie garderoby i przyborów teatralnych, zatrzymanych na granicy galicyjskiej, z powodu że znajdowały się pomiędzy niemi teatralne zbroje, rapiery i tym podobne narzędzia pseudozabójcze, które się w owych czasach wojennych wielce niebezpiecznemi zdały rządowi austryackiemu, a przynajmniej jego urzędnikom na jednym z pomniejszych celnych przykomórków granicznych. Nim więc starania Bogusławskiego u władz stołecznych we Lwowie pożądany odniosły skutek, musiało dosyć czasu upłynąć, a niecierpliwość publiczności wzrosła tak dalece, iż Bogusławski widział się zmuszonym, nie czekając na przybycie garderoby, odroczyć przedstawienie F r a s k a t a n k i, a otworzyć teatr mniej wystawy wymagającą operą A x u r.

Korzystny na razie dla Bulli układ z Bogusławskim okazał się wnet niebezpiecznym dla niemieckiego teatru z tego powodu, że publiczność, mając teatr polski, zaprzestała chodzić do niemieckiego. Ujrzał się tedy zagrożonym uprzywilejowany cywilizator, i skutkiem tego po upływie ugody nie chciał jej odnowić i dozwolić nadal Bogusławskiemu polskich przedstawień we Lwowie. Ale gdy pomimo tego nie uczęszczano na teatr niemiecki, wnet pozazdrościł znów Bulla uronionego zysku i krakowskim targiem pozwolił Bogusławskiemu dawać polskie przedstawienia co poniedziałek raz w tygodniu, warując sobie swoję część dochodu. Z namiętną niecierpliwością oczekiwała publiczność lwowska każdego poniedziałku, a natłok w teatrze w owe poniedziałki bywał tak wielki, iż każde przedstawienie za podwójne liczyć się mogło. Widząc tak wielkie powodzenie Bogusławskiego, a niechybny swój upadek, gdy nawet w skutek tego aktorowie niemieccy zaczęli opuszczać scenę i w świat się rozchodzić, przemyślny Bulla, mając po sobie protekcyą rządu, powziął wyśl wyzyskać na swoję korzyść bardziej jeszcze pobyt Bogusławskiego we Lwowie i w tym celu zmusić go do objęcia dyrekcyi obu teatrów, polskiego i niemieckiego, zapewniając sobie z takowego układu z góry wszelkie zyski bez żadnego narażenia się.

Zagrożono Bogusławskiemu, iż jeżeli nie przyjmie proponowanego przez Bullę układu, natenczas otrzyma nakaz opuszczenia Lwowa raz na zawsze. Nie przeląkł się groźby Bogusławski, bo był to mąż nieugiętego charakteru, ale szło mu o utrzymanie sceny polskiej we Lwowie, o to, co się łączyło z głównem zadaniem jego życia, a nie widząc innego sposobu osiągnienia celu, przyjął propozycyą Bulli i ugoda stanęła. Zawierała ona trzy główne warunki, mianowicie:

Że dyrekcyą obu teatrów obejmuje Bogusławski i że on ma pobierać dochody z obu teatrów, jakoteż opędzać wydatki obu, Bulla zaś zatrzymywał jedynie administracyą, czyli właściwie reżyseryą teatru niemieckiego pod kierunkiem Bogusławskiego.

Warunek drugi zastrzegał Bogusławskiemu prawo przyjmowania i oddalania aktorów, tak niemieckich jak polskich.

Wreszcie warunek trzeci zawierał rdzenną treść rzeczy — oto zobowiązywał Bogusławskiego do zapłacenia aktorom niemieckim 20.000 zaległej gaży, które im Bulla pozostał winien. Tę tak znaczną sumę miał tenże zwrócić Bogusławskiemu kiedyś po latach, po upływie kontraktu.

Szła więc w pańszczyznę scena polska — w ciężkie jarzmo oddawał się Bogusławski; lecz aby tylko utrzymać teatr polski we Lwowie żadne nie były dlań poświęcenia za ciężkie. Ofiarował się dźwigać brzemię sceny niemieckiej, obowiązywał się pracować dla niemieckiego spekulanta, płacić jego długi, bo po za tem wszystkiem przyświecała mu myśl, będąca życiem jego posłannictwa, myśl ratowania sceny ojczystej. W przewidywaniu jednak, na jak wiele się naraża, zdołał przecież w tej wymuszonej na nim ugodzie przeprzeć ten warunek, że po upływie dwóch lat wolno mu będzie wyzwolić się od kontraktu i ustąpić z tej spółki.

I rzeczywiście okazało się, jak zbawiennym był ów warunek, który poźniej od ostatecznej straty Bogusławskiego ochronił.

Z początku szły rzeczy dobrze. Sympatya, jaką u publiczności posiadał Bogusławski, jego gorliwość i znajomość rzeczy zapewniały pomyślność teatrowi. Rozpoczął przedstawienia dramat niemiecki: Abelino wielki bandyta; i przez pięć miesięcy pomyślnie wiodło się teatrowi, w którym na przemian Bogusławski polskie i niemieckie dawał przedstawienia. Ale za zbliżeniem się lata, owej pory zawsze najmniej dla teatru przyjaznej, potrzeba było obmyśleć nowe środki zajęcia uwagi publiczności i zwabienia jej do teatru.

Bogusławski wpadł na szczęśliwy pomysł zbudowania amfiteatru letniego w ogrodzie Jabłonowskich, miejscu ulubionem przechadzek ówczesnej publiczności lwowskiej, i przedstawienia na nim swej nowej, pierwszej polskiej z czysto rodzimych żywiołów osnutej opery: Krakowiacy i Górale.

Ogród Jabłonowskich, dzisiaj na plac musztry zmieniony, zupełnie inaczej wówczas wyglądał. Ocieniały go odwieczne lipy, sadzone jeszcze za powrotem Sobieskiego z wyprawy wiedeńskiej; — odwieczne te szpalery dzieliły ogród w ośm równych czworoboków, tworzących ozdobne do przechadzki kląby i wirydarze. W około wznosiły się amfiteatralnie wzgórza, zwane tureckimi szańcami, okryte krzewiną i malowniczo ciągnącemi się laskami. Tu więc korzystając z samego już położenia ogrodu postanowił Bogusławski zbudować letni amfiteatr. Podjął się budowy przybyły z Warszawy architekt i malarz, dawny Bogusławskiego znajomy Włoch, Moraino, a sporządziwszy odpowiednie plany, zabrał się do dzieła.

Tymczasem Bogusławski rozpoczął starania, aby uzyskać pozwolenie przedstawienia Krakowiaków i Górali. Starał się o to osobiście u ówczesnego gubernatora, a gdy zbadawszy rękopis cenzura miejscowa nic w nim zdrożnego nie znalazła, oprócz kilku luźnych drobiazgowych wyrażeń, które Bogusławskiemu zmienić kazano, posłany został rękopis do najwyższej władzy cenzuralnej do Wiednia. Takie to znaczenie przywiązywała cenzura ówczesna do tej sztuki, jak w ogóle do sceny polskiej.

Podczas gdy rękopis Krakowiaków i Górali przebywał długą drogę, wówczas jeszcze bez kolei żelaznej, ze Lwowa do Wiednia, budowa przeznaczonego dla nich amfiteatru raźnie postępowała. Obudzała ona jak najżywsze całej publiczności lwowskiej zajęcie; rankami i wieczorami ciągnęły procesye spacerujących ku Jabłonowskich ogrodowi, aby przypatrzyć się postępowi roboty, jakby najciekawszemu widowisku. Poczciwy Włoch, starowina Moraino, nie mógł sobie dać rady obsypywany zapytaniami, które go zniewalały do udzielania szczegółowych objaśnień o całej budowie. Zajmowała ona cały jeden czworobok lipowy. Scena z ośmiu porządku greckiego kolumnami wyobrażała zwaliska starożytnej świątyni. W około amfiteatralnie wznosiły się trzy rzędy miejsc. Na dole parter — powyżej w środku galerya dla dam, a najwyżej amfiteatr, odpowiadający temu co tu u nas dziś nazywamy galeryą, a po warszawsku paradyzem. Cały amfiteatr otoczony był ścianą z desek pomalowanych olejno w ten sposób, iż przedstawiały ruiny murów, pozrzucane kapitele, szczątki kolumn. Malowidło to przedstawiało wabiące dla oka złudzenie, a zarazem chroniło olejnym pokostem ścianę od dżdżu i wilgoci. Amfiteatr mieścił 2500 osób, a w razie natłoku mógł pomieścić nawet do 3000.

Publiczność, jak powiedziałem, ogromnie była zainteresowana całą tą rzeczą, i z gorączkową niecierpliwością oczekiwano ukończenia budowy i rozpoczęcia widowisk. Największą wszakże uwagę obudzała budowa samejże sceny, która zbita z desek na ziemi, miała być następnie za pomocą ku temu już umyślnie przysposobionego mechanizmu przeniesioną i na wywyższeniu ustawioną. Były wątpliwości, ażali budowniczemu powiedzie się ów projekt przeniesienia na właściwe miejsce całej gotowej już sceny i umocowania na podwyższeniu tego skomplikowanego ciężaru. Wymagało to w samej rzeczy biegłego mechanika, dobrze obmyślanego przyrządu i wielkiej akuratności w wykonaniu. Czyniono pomiędzy sobą z góry już zakłady o to, czy rzecz się powiedzie lub nie, i niecierpliwie oczekiwano chwili, mającej stać się albo tryumfem budowniczego, albo ciosem niweczącym żywione od dawna nadzieje publiczności. Znał najlepiej trudności wykonania sam Moraino, i w obawie aby mu nie przeszkodzono, chciał uskutecznić dzieło umieszczenia sceny w ciągu nocy; wszelako Bogusławski znając zainteresowanie się i niecierpliwość publiczności i przewidując, o ile przykrzejszym byłby zawód w razie, gdyby rzecz się nie udała po za jej oczami, niespodzianie, sprzeciwił się temu i skłonił Morainego — aby umieszczenie sceny odbyło się w dzień w oczach całej publiki.

Niepamiętnie liczne tłumy zaległy ogród Jabłonowskich onego popołudnia, gdy pracę tę przedsięwziąć miano. Połowa miasta wylęgła do ogrodu; nie tylko ogród i otaczające go wzgórza były przepełnione tłumami widzów, ale z wszystkich drzew wyglądało ich tysiące, uwieszonych pomiędzy konarami. W chwili, gdy budowniczy dał znak rozpoczęcia roboty, gdy zwolna zaczęła się podnosić windowana sznurami w górę scena, z powstrzymanym oddechem oczekiwano skutku roboty, a milczenie to wybuchło we frenetyczne uniesienie i grzmot powszechnych oklasków, gdy ujrzano tryumf budowniczego w dokonanem dziele.

Był tedy gotowym teatr i była scena, ale nie było Krakowiaków i Górali z Wiednia. Tymczasem na

spodziewane otworzenie amfiteatru zjechało się mnóstwo osób z prowincyi, z dalszych nawet okolic — zapełniły się hotele, Lwów wyglądał jak zazwyczaj w czasie kontraktów rojno i gwarno. Niepodobna było ociągać upragnionego otworzenia teatru i czekać na Krakowiaków. Otworzył więc Bogusławski inną operą, mającą wzięcie naówczas, pod tytułem Agatka czyli Przyjazd pana, napisaną przez księcia Macieja Radziwiłła na powitanie króla Stanisława Augusta w Nieświeżu, z muzyką Hollanda.

Tymczasem wiele rodzin z prowincyi pozostało umyślnie we Lwowie oczekując na Krakowiaków. Nadszedł wreszcie gorąco oczekiwany rękopis tej sztuki, którą poprzedziła do Lwowa sława przedstawienia jej w Warszawie. Trzy razy raz po raz dano w amfiteatrze lwowskim Krakowiaków, a przedstawienia te pozostały pamiętnemi w dziejach pobytu Bogusławskiego we Lwowie. Z uniesieniem przyjęto, o niczem nie mówiono jak tylko o nich, wszędzie w salonie i na ulicy nucono z nich spiewki z patryotycznemi aluzyami, powtarzano arye Bartosa i Miechodmucha.

W dusznej atmosferze ucisku, w jakiej kraj od czasu zaboru się znajdował, po raz pierwszy w Krakowiakach Bogusławskiego zawiał ze sceny duch swobodniejszy, czysto swojski, rodzimy. W piśmiennictwie ociężałem dziełami klasycyzmu, tchnącemi naśladownictwem i sztywną powagą, utwor Bogusławskiego na nowych osnuty żywiołach, przemawiający językiem, do uczucia powszechnego trafiającym, stanowił nową epokę, a dla tych, którym wzbraniano wszystkiego co było ojczyste, których usiłowano systematycznie pozbawić polskiej mowy, uczucia i obyczaju, tem milszem zjawiskiem były na scenie Krakowiacy, utwor prawdziwie narodowy.

Trzy razy powtarzano raz po raz Krakowiaków i Górali w amfiteatrze, zawsze z równem uniesieniem przyjmowanych. I przez lat wiele potem jeszcze i aż do dzisiaj pozostali Krakowiacy Bogusławskiego sztuką zawsze jak najmilej na scenie widzianą; a powodzenie ich skłoniło w kilkanaście lat poźniej Jana Nep. Kamińskiego do napisania części drugiej według wzoru Bogusławskiego; miał nawet plan napisania części trzeciej, do której niektóre spiewki już przygotowane pozostawił.

Podczas gdy przedstawienia w amfiteatrze tak świetne miały powodzenie, troskliwy o przyszłość Bogusławski myślał już o kursie zimowym i jął się przerobienia teatru w kościele pofranciszkańskim.

Bulla urządził był wprawdzie teatr w owem zabudowaniu, ale z takiemi niedogodnościami, że je koniecznie było potrzeba usunąć, wiele rzeczy zmienić, rozszerzyć i do wymagań sceny zastosować. Najdotkliwiej dawał się czuć brak miejsca na garderobę. Przeznaczony był na to dawny skarbiec kościelny, mała sklepiona izba, w której niepodobna się było mieścić całemu gronu artystów. Artystki musiały przyjeżdżać już ubrane w domu do teatru; zwyczaj ten z potrzeby zachował się aż do ostatnich czasów istnienia starego teatru. Pamiętamy jeszcze owę ogromną, dobrze znaną we Lwowie żółtą kolasę, będącą własnością teatru, która przed każdem przedstawieniem przywoziła poubierane już w kostiumy teatralne artystki i wysadzała je u bocznych drzwi zabudowania teatralnego, gdzie z tego powodu tworzył się około godziny siódmej amfiteatr widzów, ciekawych widowiska jeszcze przed widowiskiem.

Wszelako Bogusławski uczynił co mógł, aby teatr ów urządzić dogodniej i odpowiedniej. Kazał ile się dało sciosać gruby mur w około sceny, umieszczonej w dawnej nawie kościoła; przedtem albowiem przejście w około sceny pomiędzy kulisami a murem było tak ciasne iż bez zmięcia sukni przecisnąć się tamtędy nie było podobna. Do odmalowania nowych dekoracyi sprowadził Bogusławski Smuglewicza, a dekoracye przezeń malowane były prześliczne. Jeszcze za czasów Kamińskiego pozostało ich parę, które jako pamiątkę po znakomitym naszym ziomku artyście z wielkiem poszanowaniem przechowywano.

Słowem uczynił Bogusławski wszystko, aby teatr należycie urządzić i przyozdobić, i jemu to zawdzięczało miasto nasze, iż mieliśmy ów mały wprawdzie i ciemny teatrzyk, pomimo wszystkich niedogodności przecież tak urządzony że przez lat kilkadziesiąt stał się schronieniem muzy polskiej, przybytkiem, w którym się w nocy ucisku skarb mowy ojczystej i narodowego uczucia przechował.

Gdy przy restauracyi zdjęto dla odnowienia podłogę sceny, ukazał się widok przerażający trumien, złożonych niegdyś w grobowym sklepie kościoła. Nieraz już sufler zapewniał, iż włażącemu do budki suflerskiej majaczeją w ciemnościach trumny. Brano to za przywidzenie rozgrzanej wyobraźni; tymczasem sufler miał słuszność — pod podłogą były groby, po nad którymi wyprawiano śmiechy i tańczono balety.

Po zrobieniu tego odkrycia przeniesiono trumny z należnem poszanowaniem na cmentarz; ale wiele osób, zwłaszcza starszych, odstręczyło to od bywania w teatrze i szukania uciechy w miejscu, gdzie nie dawno przedtem chodzili się modlić. Dopiero gdy się w drugiem pokoleniu zatarły reminiscencye kościelne, przywiązane do murów tego teatru, nie raziły już nikogo dawane w nim przedstawienia; i wielu jeszcze z nas pamięta, ile wrażeń wzniosłych doznaliśmy za młodu w owym ciemnym i ciasnym teatrzyku.

(D. n.)

Kronika.

Nadchodzi pora najmniej przychylna dla ruchu umysłowego. Wyludniają się miasta, pustkami patrzą kollegia, drzemią kortyny teatralne — wszystko spieszy na wieś! na wieś! Nieszczęśliwi, których codzienne zatrudnienia przykuwają do miasta, wyciągają tęskne ramiona do wiejskiej przyrody i tylko w miejskich ogrodach szukają chwilowego zapomnienia o dławiących pyłach i wiecznie szarych murach miasta.

W téj to porze roku, obok innych strumieni, wysycha także strumień ruchu literackiego i sączy się zaledwie cienkiemi strugami. Sprawozdawca jest w prawdziwym kłopocie; dokoła stagnacya i cisza; literatura jak krzew zwarzony pionowymi promieniami słońca; ściąga ramiona i drzemie. Uczeni krzepią u wód nadwątlone zdrowie; poeci pną się na szczyty gór szukając natchnienia. Prasy drukarskie, jak głodne paszczęki, zgrzytną parę razy i znów w milczeniu oczekują pokarmu. Księgarze przez drzwi otwarte sklepu błądzą wzrokiem po wyludnionych ulicach i mają czas na rozmyślania filozoficzne.

Bądź co bądź znajdziemy jeszcze w obecnej chwili kilka nowych książek do pokazania. W Krakowie nakładem Wydawnictwa dzieł Władysława Jaworskiego wyszła w drugiem wydaniu, Historya polska doprowadzona do ostatnich czasów, ułożona przez pytania i odpowiedzi dla początkujących przez W. W. przejrzana i poprawiona przez Wł. L. Anczyca. Ostatnie powstanie i następujący za tem ucisk moskiewski znajdują tam rzetelną i trafną charakterystykę. Tradycya powstań narodowych, owoc ucisku zaborców, przedstawiona jest w świetle beznamiętnem i prawdziwem. W końcu następuje zachęta do usilnej a zgodnej pracy około wewnętrznego podniesienia narodu, polepszenia jego obyczajów, zamożności, oświaty i wszelkich środków podźwignięcia się z upadku.

Układ historyi w pytaniach i odpowiedziach jest bez wątpienia ułatwieniem dla mechanizmu pamięci; sądzimy jednak, że ułatwienie to pod innym względem, pod względem pojmowania przedmiotu, przynosi znaczne niekorzyści. Uczeń traktuje każdą odpowiedź zosobna, jako całość zależną tylko od postawionego przed się pytania, i często przyzwyczaja się tak do samego brzmienia zapytań, że na te same pytania, w inny sposób poczynione, nie potrafi odszukać właściwych odpowiedzi. Inna jest rzecz zupełnie, jeżeli wydając lekcyą historyi, zmuszony jest odpowiadać na doraźne zapytania nauczyciela, wtedy bowiem przyzwyczaja się już korzystać z tylko co zdobytych wiadomości, i zastosowując odpowiedź swoję do pytań nauczyciela, uczy się myśleć i kombinować.

W Krakowie także wyszły na świat Wspomnienia z nad Bajkału, spisane z notat i opowiadań przez Rościsława. Jest to niewielka książeczka, zawierająca bogaty materyał do tragicznej historyi powstania wygnańców naszych na Syberyi. Dzieje bolesnych wysiłków przeplatane są tam nieraz krajobrazami z tego dalekiego świata, co stał się czyśćcem doczesnym dla Polski.

Zasłużony profesor, Karol Mecherzyński, napisał Stylistykę do użytku młodzieży szkolnej, wydaną także w Krakowie nakładem księgarni Himmelblaua. „Człowiek z talentem, powiada Sniadecki, z gruntowną nauką, z czuciem delikatnem, ze znajomością świata, prawie żadnych nie potrzebuje przepisów na to, żeby dobrze mówił lub pisał o rzeczy, którą dokładnie pojął i ogarnął. On sam sobie te przepisy wynajduje i składa, idąc za osnową swych myśli, za porządnym ruchem imaginacyi i czucia. Własne jego natchnienie wskazuje mu prawidła przyzwoitości, ostrzega o tem, co się podoba i zniewala, a co nudzi i obraża. Przepisy przydać mu się mogą jedynie do tego, aby w zapędzie swoich myśli nie uniósł się zbyt daleko i nie przeszedł granic przyzwoitości.“

Pełne prawdy słowa Sniadeckiego stosują się tylko do bardzo nielicznych wyjątków, do tych niewielu pisarzy, co czując i myśląc samodzielnie nadają językowi swojemu wyraźne piętno swojego ducha. Dla ogółu, szczególnie w Galicyi, gdzie język polski ulega wielkiemu zepsuciu, przepisy stylu, na wzorowych pisarzach oparte, mogą być tylko zbawiennym środkiem zachowawczym pod względem czystości językowej.

Stylistyka prof. Mecherzyńskiego jest więc bardzo pożądaną książką, która jesteśmy pewni, tak w szkolnem jak i w domowem wychowaniu znajdzie szerokie zastosowanie. Pierwsza połowa tej książki zawiera w sobie przepisy i określenia, w drugiej są przykłady i wzory rozmaitych rodzajów stylu, z celniejszych pisarzy polskich wyjęte.

J. T.

Ze Świata.

(Straszny wróg domowy). Narzekamy na rozmaite owady i żyjątka, które dokuczają nam w naszych pomieszkaniach, wynajdujemy rozmaite trucizny, ażeby się uwolnić od tych nieprzyjaciół naszej skóry i naszej spiżarni,—a niezważamy na to, a raczej mało kto z nas wié o tem, że mamy nierównie straszniejszego wroga w domu, który nas dokoła otacza, nieustannie prześladuje, niszczy powoli nasze zdrowie, a częstokroć staje się nawet zabójczym dla nas. A czy wiecie szanowne gosposie, co jest tym najzaciętszym wrogiem waszego gniazda rodzinnego? Oto jest nim poprostu ów pył, który ciągle obsiada wasze sprzęty domowe, i z którym napróżno walczą po całych dniach wasze szczoteczki i miotełki. Wy prowadzicie tę walkę tylko w interesie czystości, nie przeczuwając nawet, że nierównie ważniejszy interes jest tu zagrożony; ale i we względzie czystości przekonujecie się niestety same, że wszelkie usiłowania wasze są bezowocne, bo chociaż wróg ten z łatwością daje się odpędzać, za chwilę przecież pojawia się napowrót i prowadzi dalej dzieło swojego zniszczenia. A zniszczenie to jest nieraz okropne w swoich skutkach! Jakżeż to być może? — spytacie. Posłuchajcież.

Oto wykryły długoletnie i usilne badania umiejętne, że pył ten, którym przepełnione jest powietrze naszych pomieszkań, nie jest bynajmniej rzeczą obojętną i martwą, lecz składa się z różnych istotek organicznych, a zatem posiadających własność żywotną, która potęguje się za zetknięciem z naszym organizmem i tym sposobem wywiera szkodliwy wpływ na

nasze zdrowie. Już sama powierzchowność tych istotek pyłkowych przekonuje nas o prawdziwości tego twierdzenia. Wprawdzie gołemu oku wydają się cząsteczki pyłu, osiadającego na meblach, czemś jednostajnem; ale tak nie jest bynajmniej. Proszę przypatrzyć się tylko pyłowi bujającemu po pokoju, gdy go oświeca wpadający ukośnie promień słońca, a już i wolnemu oku okażą się pewne różnice między temi na pozór jednostajnemi ciałkami; jeszcze większą zaś staje się ta rozmaitość, gdy weźniemy do pomocy miskroskop, który odsłania nam wogóle najdrobniejsze tajemnice przyrody. Wtedy dostrzegamy w naszym pyle liczne ostrożki lub komóreczki kiełkowe różnych grzybów, które tak rade osiadają na przyprawianych owocach i innych artykułach żywności, tudzież rozmaite ładne regularne kształty, jako to prążki, trójkąty, kółeczka i t. d., to jest wapienne skorupki i krzemieniaste pancerze żyjątek miproskopijnych. Nakoniec widzimy tam jeszcze okruszyny węgla, ułamki komórek roślinych, ziarneczka krochmalu, drobne pióreczka, włoski i inne włókna, które powstają ze zużytych sukień naszych.

A nawet powietrze wiejskie, tak wychwalane przez nas, nie jest wolne od tych nieczystości; chociaż bowiem zwykłe światło dzienne dozwala się ukryć temu delikatnemu pyłkowi, zdradza go przecież każdy silniejszy promień światła. I takie to nieczystości wciągają co chwila nasze płuca, a my nie przeczuwamy nawet, że czasem najmniejsza ich cząstka może się stać zabójczą dla nas! A któraż to jest ta cząstka? Oto do niedawna sądzono, że choroby epidemiczne szerzą się za pomocą pewnego rodzaju miazmów, które składają się z materyi organicznej w stanie zgnilizny, i że ta materya dostawszy się do naszego ciała czy to przez płuca czy przez skórę, zdoła szerzyć dalej proces zniszczenia, w jakim się sama znajduje. Tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczej. Badania umiejętne dowiodły, że owe wyziewy chorobliwe nie są bynajmniej materyą gnijącą, lecz przeciwnie posiadają siłę żywotną i zapładniają się w innych ciałach tak samo, jak nasienia roślinne w ziemi. Dowiodła tego mianowicie próba z drożdżami, gdyż przekonano się, że drożdże nie są prostym fermentem, lecz istotą organiczną, rośliną, która w odpowiedniej ziemi rośnie i rozpładnia się, jak to pod mikroskopem dokładnie widzieć można. Otoż jak z posadzonej żołędzi dąb wyrasta, który nowe wydaje żołędzie, i jak tym sposobem może z jednego ziarna nasiennego cały las powstać,—tak i choroby epidemiczne zasiewają literalnie swoje ziarna, rosną i wydają nowe zarodki, które jeżli w ciele ludzkiem znajdą odpowiedne pożywienie i temperaturę, mogą wkońcu całą ludność opanować. Tym to sposobem jedynie rozszerzyła się cholera azyatycka, wylągłszy się pierwotnie w małej delcie Gangesu, w przeciągu siedmnastu lat na całej prawie ziemi; tem tylko da się również wytłumaczyć ta okoliczność, że z jednej kropeleczki jadu ospowego powstaje cała kupa wrzodów ospowych, napełnionych tym samym jadem.

I to wszystko może się mieścić w owym pyle, którym bez ustanku oddychamy! A jakaż rada na to, jaki sposób, ażeby się ochronić od zabójczego wpływu tego strasznego wroga? Właściwie nie ma dotąd żadnego stanowczego środka, prócz waty, która z przepuszczonego przez nią oddechu zatrzymuje w sobie wszelkie nieczystości, i z którą zaczęto już robić próby po szpitalach; ale pocieszajmy się tą nadzieją, że skoro raz umiejętność wpadła na trop nieprzyjaciela i zbadała dokładnie jego istotę, potrafi ona także obmyśleć środki, ażeby go pokonać, a przynajmniej uczynić mniej niebezpiecznym.

(B a r d z o u l u b i o n ą o s o b i s t o ś c i ą p a r y s k ą) był zmarły niedawno dyrektor teatru, nestor R o q u e p l a n, którego niewyczerpany dowcip i humorystyczne pomysły weszły w przysłowie w Paryżu. Z pomiędzy niezliczonych anegdot, które podają dzienniki paryskie z jego życia, opowiemy także czytelnikom naszym jednę, która zasługuje na to dla swej oryginalności:

Gdy Roqueplan był dyrektorem teatru rozmaitości, piastował przy nim urząd sekretarza niejaki Boulé, tuzinkowy pisarz wodwilów, który naturalnie ubiegał się wielce o to, żeby jednę z jego sztuk przedstawiono w tym teatrze. Ale to nie była rzecz łatwa, bo dyrektor, jak tylko zwietrzył, że sekretarz jego zamyśla wystąpić z swoim fabrykatem, stawał się niewidzialnym nawet dla niego. W końcu jednak dopadł go raz Boulé niespodzianie, i Roqueplan musiał się poddać. „Dobrze — rzekł — czytaj mi pan swoję sztukę, ale zapowiadam ci z góry: Podług mojego zdania nie może jednoaktowa sztuka trwać dłużej, jak sygaro. Ja zapalam sygaro, pan zaczynaj równocześnie czytać; jeżeli nie przekroczysz tej miary, to utwór twój będzie przyjęty“. Roqueplan zapalił sygaro, a Boulé czytał. Ale niestety jąkał się nieborak od urodzenia; i im krótszem stawało się sygaro, tem spieszniej czytał niespokojny autor, i tem okropniej też zajękiwał się. Nakoniec, gdy Roqueplan wypuścił ostatni dym z sygara, wygłosił też Boulé ostatnie słowo i zapytał z miną tryumfującą: „No, i coż pan na to?“—„Hum!— odrzekł dyrektor — jestto istotnie myśl niezła. Ten ojciec, ta matka, ten kochanek i ta piękna Donna, — wszyscy się jąkają; przyjmuję pańską sztukę“.— „Ależ, na Boga! — zawołał Boulé — nikt się tu nie jąka, tylko ja sam!“ — „A, kiedy tak, to nie będzie nic z tego“ — zakończył Roqueplan spokojnie.—Miał on w ogóle wielkie zamiłowanie w dziełach zmarłych mistrzów, i tylko z trudnością skłaniał się do przedstawienia sztuk żyjących jeszcze autorów. Raz rzekł do jednego z tych panów, który składając mu osobiście swoje uszanowanie upraszał gorąco o przyjęcie swego utworu: „Mój panie, na teraz nie mogę nic przyrzekać, ale... po śmierci pana...“

Prócz tego słynął także Roqueplan jako zapalony zbieracz osobliwości, i chociaż posiadał liczny zbiór szacownych dzieł sztuki, zajmował się przecież najbardziej szczególniejszym przedmiotem, mianowicie szkandelami sławnych kobiet. I posiadał też znaczny zbiór tych narzędzi; szkandele, które miały zaszczyt ogrzewać łóżka najsławniejszych dam zacząwszy od epoki odrodzenia aż do 19. wieku. Miał szkandele Anny bretańskiej, Diany z Poitiers, Maryi Stuart, pięknej Gabryeli, panny Lafayette, Maryi Delorme; Niny de Lenclos, pani de Sevigne, panien Fontange i La Valliere, pani Montespan, Maintenon, Tencin, Pompadour, Dubarry, Maryi Antoinetty i t. p. I z a p e w n i a j ą też bliżsi jego znajomi, że na ten co najmniej dziwaczny zbiór wydał on bajeczne sumy.

(S t a t y s t y s k a s a m o b ó j s t w) we Francyi w roku zeszłym wykazuje podług urzędowych obliczeń, że 4008 męż-

czyzn i 1003 kobiet odebrało sobie życie w gwałtowny sposób. Z tego utopiło się 960 mężczyzn i 408 kobiet; obwiesiło się 1972 mężczyzn i 335 kobiet; zastrzeliło się pistoletem 251 mężczyzn a strzelbą 2 kobiet; udusiło się czadem węglanym 192 mężczyzn a 113 kobiet; zabiło się ostremi narzędziami 176 mężczyzn i 33 kobiet; struło się 74 mężczyzn i 44 kobiet; skoczyło z okien lub z ganków 99 mężczyzn a 55 kobiet; rzuciło się pod pociągi kolei 13 mężczyzn, a jeden zagłodził się dobrowolnie. Z 315 osób, które udusiły się czadem, było 156 z departamentu Sekwany. Śmierć przez obwieszenie się była zawsze jeszcze najulubieńszą. Najwięcej samobójstw zdarzało się między chłopstwem i wyrobnikami; liczba ich wynosi 1420 mężczyzn i 375 kobiet. Dalej przypada 733 samobójstw na klasę rzemieślniczą. Ludzi bez zatrudnienia naliczono 304 mężczyzn i 216 kobiet. U tych zbliżają się jeszcze najwięcej obie cyfry, ale we wszystkich innych klasach przeważa o wiele liczba mężczyzn.

(Rzetelny złodziej.) „Journal de Quebec" ręczy za prawdziwość następującego zdarzenia: Przed dwoma laty znajdował się p. Giroard, adwokat z Stanfordu, na pokładzie jakiegoś parostatku. W ciągu żeglugi skradziono mu pugilares, w którym znajdowało się 500 dolarów. Wszelkie poszukiwania jego za złodziejem były daremne, i musiał pogodzić się z swoim losem. Jakoż zapomniał już prawie o swojej stracie, gdy pewnego dnia otrzymał przez pocztę list mniej więcej tej treści:

„Mój panie! Ja to jestem, który skradłem panu pugilares. Odsyłam go panu teraz wraz z papierami, ale zatrzymuję pańskie 500 dalarów. Nie obawiaj się pan jednakże; odbierzesz wszystko napowrót. Jestem uczciwym człowiekiem, chociaż pozory przeciw mnie mówią. Ubóstwo tylko zmusiło mnie do pożyczenia tej sumy. Nim jednak będę w stanie zwrócić ją panu, będę opłacać od niej procenta.

Rzetelny złodziej".

Jakoż rzetelny złodziej dotrzymał słowa. Już trzy razy przysyłał panu Giroardowi procenta, a w zeszłym miesiącu zwrócił nawet część kapitału. — Na takiego złodzieja może się chyba zdobyć tylko Ameryka.

(Najnowszym wynalazkiem) jakiegoś jenialnego maszynisty bostońskiego jest maszyna do czyszczenia butów. Ma ona składać się z rodzaju skrzynki katarynkowej z czterma szczotkami wewnątrz. Do tej skrzynki wstawia się but, pokręci dwa lub trzy razy korbą, i but wychodzi z niej czyściutki i błyszczący jakby z rąk najlepszego pucobuta. Maszyna ta ma być bardzo praktyczna i tania. Ha — no, świtu ubędzie znowu jeden szanowny cech — pucobutów!

(Jak żyć należy, ażeby zachować czerstwość do późnych lat?) Znowu mamy świeżą receptę na długie życie. Znakomity naturalista i pisarz niemniecki Braun von Braunthal radzi: Jeść jak najmniej. Zachować czystość i porządek. W nocy spoczywać. Pracować wiele, lecz tylko wtedy, jak mawiał Goethe, gdy jest do tego usposobienie, w dobrą godzinę, albowiem odpocząwszy w chwili nieusposobienia, zrobisz poźniej w dwójnasób więcej. Nie strachać się myślą o śmierci; kto przed nią nie drży, temu życie płynie swobodniej. Pić wiele zimnej wody, lecz mało przy jedzeniu, albowiem ochłodzenie żołądka wpłynąć może sskodliwie na trawienie. Nigdy nie pić, a mianowicie przy obiedzie piwa. Kawa w niewielkiej ilości pożyteczna, lecz tylko czarna i nie zbyt słodka. Odziewać się wygodnie i jak najlżej. Chodzić wiele; jeżdżąc, nie daleko zajedziesz. Śmiać się wiele, a gdy nie ma z czego, to chociaż z siebie samego. Nie gniewać się i nie unosić, chyba na własną głupotę, że coś mogło do gniewu doprowadzić. Żenić się i za mąż wychodzić, jak tylko pora nadejdzie; owdowiawszy, wstępować w stan małżeński po raz drugi, trzeci itd. *ad infinitum* (do nieskończoności), gdyż koniec zestarzałych w bezżeństwie bywa zawsze smutny. Nie oddawać się zupełnemu wypoczynkowi, dopóki tylko starczy sił do pracy, albowiem po za okresem wypoczynku wkrótce następuje śmierć. Nie rozczarowywać się, lecz podtrzymywać poetyczne usposobienie i bujną wyobraźnię. Ludzie z poetycznem usposobieniem, jakimi byli np. Goethe, Torwaldsen, Tycyan, Calderon i wielu innych, żyją zwykle do poźnej starości. Siły moralne dłużej się zachowują, jeźli je ożywiają estetyczne poczucia. Swoboda myśli niezbędna, lecz nie lekkomyślność. Kochać wszystkich, lecz rozumnie, po bożemu: Bóg z miłości często karze. Przyjmować wszystkich z otwartemi rękoma, unikając jednak widoku wielu, aby się nie przestraszyć ich brzydotą. Nie lękać się niczego i nie zachwycać się niczem, chyba tylko naturą! (*Probatum est* — To rzecz dowiedziona).

(Najdroższe sygara). Marszałek Narvaez, który jak wiadomo ożenił się z bajecznie bogatą Hawanką, ofiarował niedawno Napoleonowi III 20.000 sygarów, których sztuka kosztuje prawie półtora franka. Obadwa końce cygara są pozłacane, i na każdej sztuce znajduje się oprócz tego wyciśnięta w złocie cyfra cesarza: N. Cesarz przyjął ten podarek i ofiarował za to nawzajem marszałkowi dwie kosztowne wazy z porcelany sewerskiej.

(Igrzysko losu). Jest temu lat trzydzieści, jak dwóch młodych ludzi w Szwajcaryi polowało na drobną zwierzynę. Jeden z nich zachwycał się strzelbą drugiego, odznaczającą się starannem wyrobieniem; właściciel admirowanej broni zaproponował tedy zamianę, której też dokonano bezwłocznie. Za kilka chwil nawija się jakiś ptak; młodzieniec ów z tej nowonabytej a tak upodobanej strzelby strzela doń, lecz lufa pęka i mocno go rani w oko i rękę. Z ran tych wkrótce też umiera. Owym niefortunnym młodzieńcem był Jakób Murraj — a drugim był dzisiejszy Napoleon III. — W Oleskowie 5. stycznia 1791 roku kilku uczniów szkoły wojskowej ślizgało się na łyżwach na gołębim kanale. O godzinie piątej jeden z nich rzekł do swych towarzyszy:

— Otóż i piąta godzina, czas na obiad, jeść mi się chce.

— Zaczekaj troszkę, pójdziemy razem — odezwali się inni.

— Nie panowie, muszę iść zaraz, zbyt głodny jestem. — I to rzekłszy oddalił się ów młodzieniec. Pozostali ślizgali się dalej; w tem lód pęka i wszyscy toną co do jednego. Ocalony nazywał się Ludwik Bonaparte.

(Kandydaci na posadę kata). Niedawnemi czasy w Londynie rozeszła się wieść, że zawakowała posada kata, i niebawem do właściwego urzędu zgłosiło się 130 kandydatów na nią. Między tymi kandydatami zauważano niejakiego Tola, słynnego z umiejętnego zabijania wieprzów.

Stu trzydziestu kandydatów na taką posadę i na takie miasto jak Londyn, to wcale jeszcze skromnie. Przed laty w Hamburgu na takąż samę posadę pierwszego dnia zgłosiło się sześciuset kandydatów!

(Szczególny pojedynek). Pewien bogaty kupiec w mieście Valparaiso został wyzwany na pojedynek przez jednego z oficerów. Wedle prawideł przyjętych w tego rodzaju sprawach, tak zwanych honorowych, należało mu posłać sekundanta dla umówienia się o warunki spotkania; tymczasem wyzwany ów kupiec napisał do wyzywającego następujący list: „Wcale bym sobie nie życzył zabić pana, a tem mniej, abyś pan mię zabił. Ale jeżeli już koniecznie postanowiłeś się strzelać, to posłuchaj, co ci poradzę: Oto udaj się pan do pobliskiego lasu i upatrz drzewo takiej grubości, jak ja, odstąp odeń pięćdziesiąt, trzydzieści lub piętnaście kroków (stosownie do tego, jak się panu spodoba), a stanąwszy na obranej mecie, śmiało strzelaj. Jeżeli pan trafisz, uznam się winnym i przeproszę pana; w przeciwnym razie, pan to uczynisz". — Oficer się uśmiał i nie myśląc długo zaprosił kupca na obiad, na którym nastąpiło pojednanie, a poźniej zawiązała się nawet między nimi jak najściślejsza przyjaźń.

HUMORESKA.



Niemiec. (do pudla) Karo, muf po polski.
Karo. Au — au! — au — au!
Niemiec. (do siedzącego obok siebie Polaka) A prafda pan Polak, sze moj Karo to tobrze po polski mufi.
Polak. (do Niemca) A — dobrze, bardzo dobrze, tylko zawsze z niemieckim akcentem.

(Fraszki). Od czasów Platona do dziś dnia nałamano sobie nie mało głowy nad rozwiązaniem pytania, jaki rząd jest najlepszy? Tymczasem rozwiązali je już od dawna Chińczycy tak doskonale, że pewno każdy polityk i mąż stanu zgodzi się na ich odpowiedź. Oto mówią oni: „Jeźli miecz zardzewieje, a lemiesz błyszczy się jak zwierciadło; jeźli więzienia są puste, a szpichlerze pełne; jeźli stopnie do świątyń są zdeptane, a schody do trybunałów sądowych porosłe chwastem; i jeźli nakoniec lekarze chodzą piechotą, piekarze jeżdżą konno a literaci powozami: — wtedy dopiero jest państwo dobrze rządzone".

Pewien dygnitarz dzisiejszego dworu francuzkiego chciał zaślubić młodą, piękną wdówkę, hrabinę, która była w łaskach u cesarza, i prosił przeto pewnego dnia Napoleona III o tytuł hrabiowski. — „A — rzekł cesarz — przyszła małżonka pańska nie chce, ażeby drugi jej mąż był niższym w randze od pierwszego". — „Bynajmniej, najjaśniejszy panie — odrzekł tenże — nie to jest przyczyną mojej prośby; ale wszystkie srebra i bielizna mojej narzeczonej są oznaczone koroną zmarłego hrabi, a ponieważ początkowe litery nasze są jednakowe, więc nie potrzebowalibyśmy, gdybym był hrabią, znaczyć tego wszystkiego na nowo".

Wydawca i odpow. za redakcyę F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.